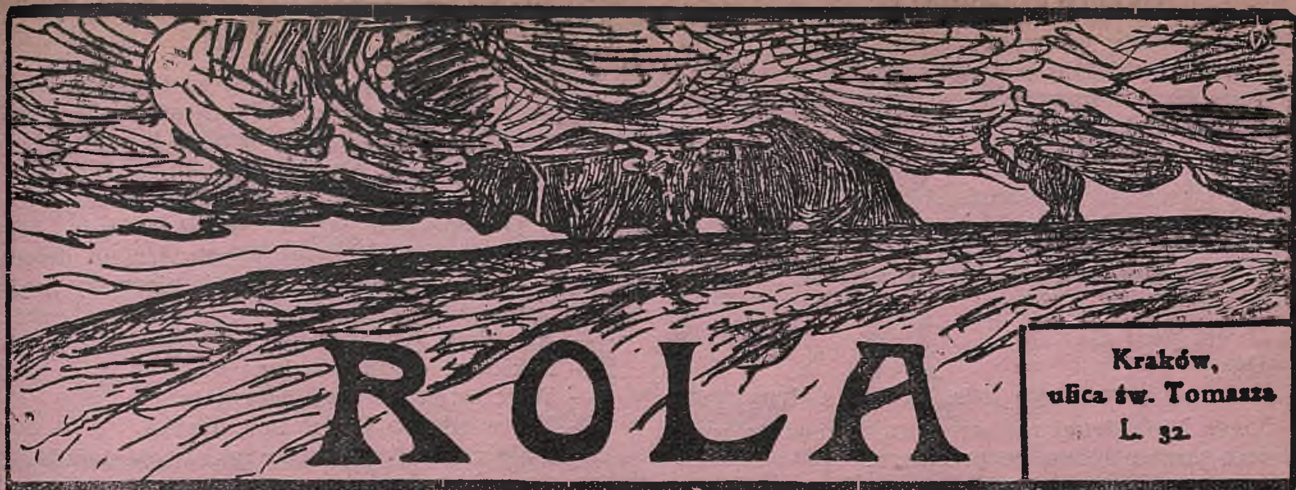
Numer 22. Opłata poczt. opł. gotówką. Dnia 27 Maja 1934



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Uczciwe zamiary.

Do komisarjatu wezwano celem zbadania, Katarzynę Zyszczyk, której w pociągu skradziono zegarek.

— Imię pani i nazwisko? — pyta prowadzący dochodzenie przodownik.

— Katarzyna Zyszczyk.

— Zajęcie?

— Wdowa...

— Ale czem się pani zajmuje?

— Dwóch mężów pochowałam, a teraz... z własnych funduszów.

— Dzieci pani ma?

—Dwoje.

— Jedno z pierwszego łoża, drugie z drugiego?

— Nieee... Jak drugi raz wyszłam za mąż, to spałam w tem samem łóżku, co przedtem.

— Ależ ja się nie o to pytam. Z którego małżeństwa są dzieci?

— Drugie to z drugiego, a pierwsze to miałam przed pierwszem małżeństwem z drugim mężem.

— Jakto?

— No, bo zanim wyszłam pierwszy raz za mąż, to byłam zaręczona z drugim mężem...

— O jej — wzdycha przodownik — nie mogę się połapać.

— Ile pani ma lat?

— Co mi pan same przykre pytania zadaje?

— Bo to trzeba zaprotokołować, proszę pani.

— Trzydzieści... eee... trzy.

— Gdzie pani mieszka?

— Pacanowska 50, lewa oficyna, 3-cie piętro, na prawo. Tylko niech pan nie przychodzi po 10-ej, bo gospodyni pana nie wpuści.

— Niech pani opowie, jak to było z tą kradzieżą zegarka?

— Jechałam, proszę pana, do domu od jego krewniaka, wdowca, co się za mnie swatał. Ma własne gospodarstwo, trzy krowy... Tylko, że mu o mnie nagadali, to się teraz nie chce żenić.

— Ale jak było z zegarkiem?

— Przecież mówię. Jechałam od tego wdowca. — W wagonie tuż przy mnie siedział jakiś młody blondyn. Przystojny chłopak, taki w oczach sympatyczny, he... he... wstydzę się, ale tak jak pan.

— No, no... niech pani mówi dalej:

— A potem jeden pasażer zgasił światło i takeśmy po ciemku jechali dalej. Wychodzę na dworzec, patrzę — niema zegarka, co go mój pierwszy mąż na loterji fantowej wygrał.

— A jaki to był zegarek?

— Niklowy, na łańcuszku.

— Więc gdzie go pani trzymała?

— No, wiadomo gdzie. Pod bluzką.

— I nie czuła pani wcale ręki tego sąsiada, kiedy wyciągnął zegarek?

— No... no... czułam, ale myślałam, że on ma uczciwe zamiary.



W sądzie.

Sędzia: — Oskarżony nazwał skarżącego łajdakiem i oszustem. Czy oskarżony ma jeszcze co do dania:

Oskarżony: — Nie, panie sędzio, ani ująć, ani dodać. Było w sam raz.

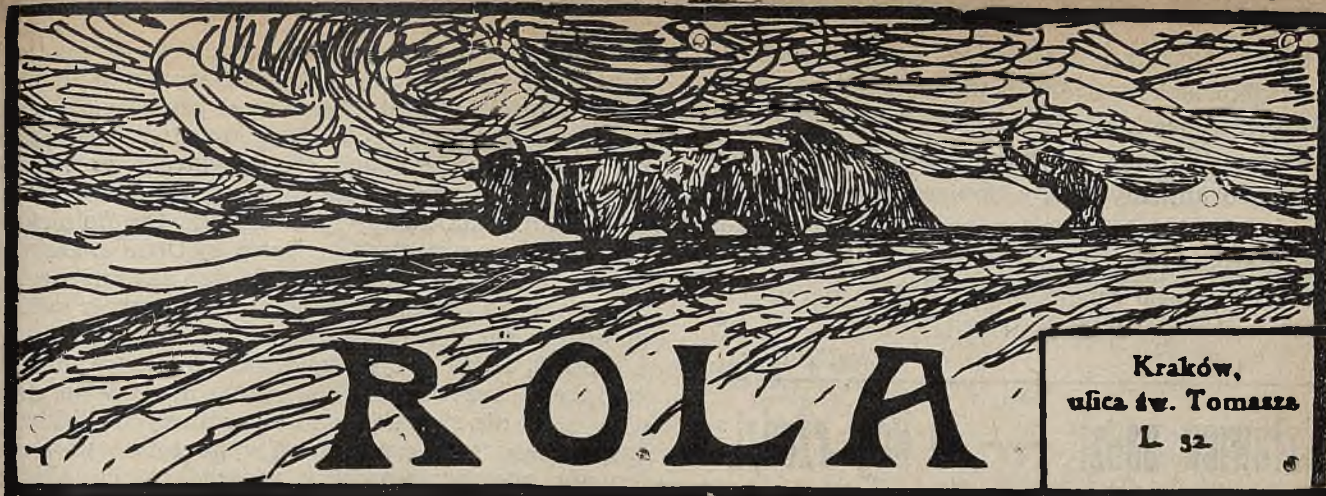


Co gorsze?

— Zdaje mi się, że to musi być rzeczą straszną dla aktora, grać ciągle narzucone sobie role.

— To w każdym razie jest lepsze, niż ożenić się i nie móc grać już żadnej roli.

Numer 22. Rok XVII. Kraków, dnia 27 maja 1934.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1934: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·50 zł., kwartalnie 3·40 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga, Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Nie chata, lecz kobieta jest domem.

Dzień Matki.



W dniu 27 maja każdego roku obchodzi się we wszystkich kulturalnych krajach Dzień Matki.

Matka — jedno słowo ale o głębokiej treści, symbolizujące niesłychane zaparcie się samego siebie i największe poświęcenie, jakie tylko wyłącznie prawdziwa, ogromna miłość może stworzyć,

Nikt na świecie nie kocha nikogo tak potężnie, jak każda matka swoje dziecko. Miłość matki, to miłość, na którą dziecko zawsze i wszędzie liczyć może.

Dzień Matki — to międzynarodowa niejako uroczystość, to jeden wielki wyraz hołdu złożony matkom całego świata.

Uroczystość ta nie jest jednak tylko uroczystością „pięknych pań“ z lepszej sfery, odzianych w eleganckie szaty — nie — ona należy do wszystkich kobiet-matek, królowych i pracownic fabrycznych, mieszkających w mieście i na wsi, w pałacu i na poddaszu, europejek i murzynek. Każda z nich kocha swe dziecko jednako i w równej mierze zasługuje na ten sam szacunek.

Mimowoli nasuwa się pytanie, jak i w jaki sposób każdy z nas ma wziąść udział w tem święcie „Dnia Matki?“

Może złożenie datku, wygłoszenie przemówienia albo wzięcie udziału w pochodzie?

Naturalnie, że i to posiada swoje znaczenie, ale nie tu kryje się punkt ciężkości. Najszlachetniej postąpimy i naprawdę głęboko, jeżeli w tym dniu nad naszym stosunkiem do naszych matek sumiennie się zastanowimy. Jak częste bowiem są takie wypadki: matka-staruszka chodzi w łachmanach i dogorywa z głodu, a jej syn lub córka opływają w dostatkach. Są to tandetne charaktery i nie warto się dłużej nad niemi zastanawiać.

„Przeklęty, kto zasmuca matkę swoją“ — powiedział nasz wielki kaznodzieja i prorok Piotr Skarga. Jakże piękne i głębokie zobrazowanie poczucia obowiązkowości dziecka wobec matki. Mowa tu — rzecz jasna — nie o dzieciach nieletnich, ale o ludziach dorosłych.

Drugi obowiązek spoczywa na małżonku. Polega on na tem, aby on swej żonie i dzieciom zabezpieczył przyszłość, aby ta matka z dziećmi nie znalazła się w nędzy. Można to uzyskać przez oszczędzanie stałe i celowe.

Nie wystarczy powiedzieć sobie: ja kocham, chciałbym, pragnę szczęścia mojej rodziny, a tem samem szczęścia kobiety-matki.

Nie, to zamało — nie słów, lecz czynów żąda życie. Trzeba się wyzbyć niejednej przyjemności, rozrywki, przyzwyczajenia, nałogu, aby w pełni móc zabezpieczyć byt swoich najbliższych.

Teraz jeszcze jedno pytanie: jak ogół ludzi — a zwłaszcza mężczyzn — ma się zachować wobec każdej znajomej czy obcej **kobiety-matki?**

Szacunek, wyrozumiałość, grzeczność, są tutaj ogólnym nakazem. Nie chodzi tu o samą formę zewnętrzną. Ustąpienie miejsca w tramwaju czy wagonie nie jest jeszcze wszystkiem — po kilkudniowym pobycie w mieście potrafi to zrobić zwykły wiejski parobek. Od ludzi zaś, którzy stoją — najczęściej niestety tylko według swego własnego mniemania — na wyższym poziomie inteligencji i uspołecznienia, można i należy wymagać czegoś więcej. Powinni oni służyć swą wiedzą, radą i pomocą materjalną, robiąc to tak, aby nie wiedziała lewica, co daje prawica.

Dzień Matki niech więc nie będzie czczą, bezmyślną, szablonową, jedynie na efekt obliczoną uro-

czystością, ale chwilą, która ma uprzytomnić całokształt obowiązków ogółu, a przedewszystkiem dziecka i ojca wobec każdej matki.

Postępując tak, uzyskamy zadowolenie wewnętrzne i zrozumiemy wtedy dopiero znaczenie matki dla przyszłości rodziny, a tem samem dla przyszłości całego narodu i państwa.

W ten sposób szlachetnie i mądrze uczcimy

DZIEŃ MATKI!

Emil Piórecki.

Człowiek sądzi — a Bóg rządzi.

Opowiadanie historyczne z końca XVII w.

(Przez Sta).

(Ciąg dalszy).

I poszedł, chcąc nieszczęśliwe kobiety dręczyć nowemi pogróżkami i urągowiskami, aby w ten sposób ulżyć sobie strapienia. Lecz któż opisze jego zdziwienie i gniew, gdy izbę zastał pustą, a kobiet ani śladu. Zaczął przypuszczać, że Zachar zmiękczony prośbami starościny, wypuścił ją wraz z Handzią i razem z niemi umknął, zabrawszy większą część pieniędzy zrabowanych Orunowi.

Odtąd nadzieja powrotu Iskry zmalała bardzo, a gdy się jeszcze zasadzki na żyda nie udały, upadł książę zupełnie na duchu i czuł, że czas pomsty Bożej się zbliża.

Był ponury, chmurny dzień grudniowy, zimny wicher siekł na przemiany drobnym deszczem, lub dużemi płatami śniegu, gdy aleją lipową, wśród grząskiego błota, posuwał się od miasteczka ku dworowi książęcemu zbrojny oddział żołnierzy tureckich z agą na czele.

Przybywszy na dziedziniec, kazał się aga prowadzić niezwłocznie do księcia, któremu wręczył rozkaz od baszy kamienieckiego, aby tego samego dnia jeszcze, zabrawszy oddział Tatarów i Kozaków, jaki miał w Niemirowie, wraz z oddziałem Turków, świeżo przybyłym, wyruszył do Kamieńca.

Chmielnicki, jako książę panujący z ramienia sułtana i jemu podległy, musiał słuchać baszy kamienieckiego; rad więc nie rad, gdy ludzie i konie w orszaku tureckim wypoczęli po nużącej drodze, wyjechał do Kamieńca.

Jurasia otaczali liczni żołnierze, lecz nie on nimi dowodził, ale aga, który rozkaz przywiózł.

Pałający gniewem i nienawiścią Orun, poruszył niebo i ziemię, aby u Turków wyjednać zwołanie sądu na Chmielnickiego. A że złota nie żałował i oddał był niejednokrotnie, jako szpieg, wielkie usługi tureckiemu rządowi, przeto po kilku tygodniach, nadeszły ostatnie rozkazy z Carogrodu i przybył dyszący zemstą handlarz.

Sąd, mający osądzić księcia Sarmacji i wydać nań wyrok, zebrał się w ratuszu kamieckim, gdzie się mieściła turecka magistratura, i zasiadł na zewnętrznej galerji tak, że od wszystkich mógł być widzianym, a sam przyglądać się zebranym wokoło ratusza tłumom.

Sędziów było trzech: to jest basza kamieniecki, przewodniczący sądowi, i dwóch przybyłych z Adrianopola Nikspolski i Kapidżi, basza turecki.

Pod galerją zaś, przy stole, zasiadł tłumacz i sekretarz tego sądu, mający spisywać pytania sędziów i odpowiedzi obwinionego. A trochę z boku, stało kilku Tatarów ze sznurami i stryczkami w ręku.

Tuż naprzeciw sędziów, ale także pod galerją, znajdował się Orun; oczy jego błyszczały ogniem tajonej radości i triumfu; snać miał pewność, że wyrok wypadnie na jego korzyść. Stojąc ze spuszczoną pokornie głową, rzucał z pod czoła bystre i przenikliwe spojrzenia na zebraną, ciekawą publiczność.

Wtem silna straż wprowadziła Chmielnickiego i postawiła go przed sądem, tuż przy Orunie, który pobladł i zadrżał na widok Jurasia. Ten zaś ani nie spojrzał na żyda, tylko spuściwszy oczy, wpatrywał się ponuro w ziemię.

Straż, która przyprowadziła winowajcę, otoczyła go dokoła i rozpoczęło się śledztwo, ale w zupełnie inny sposób, niż się to dzieje za dni naszych. U Turków badanie, sądzenie, ogłoszenie i wykonanie wyroku zajmowało bardzo mało czasu, niekiedy nawet nie całą godzinę.

Oskarżenie zarzucało księciu Sarmacji: zamordowanie pułkownika Kowalenki, zabójstwa niewinnych kmieci, odarcie ze skóry Orunowej i zrabowanie Oruna; przez co szkoda jego wynosiła 200.000 talarów

Basza kamieniecki popatrzał chwilkę na Chmielnickiego, a wreszcie zaczął pytać bez żadnego wstępu:

— Powiedz, czy prawda, żeś nożem przebił pułkownika Kowalenkę?

— Tak jest, prawda. Uczyniłem to, bo mi posłusznym nie był — odparł książę.

— A czy prawda, żeś niewinnych ludzi śmiercią bez litości karać rozkazał?

— Kazałem karać tylko tych, którzy zawinili Najjaśniejszemu Sułtanowi.

— Za coś kazał z Orunichy żydówki skórę żywcem zedrzeć, a potem jeszcze na pal wbić trupa? — badał sędzia dalej, lecz nim Juraś zdołał odpowiedzieć Orun począł głośno lamentować i płakać, wołając:

— On nietylko mi żonę zamordował, ale pobrał wszystko, co znalazł w moich domach; rozpędził mi cały odalik, pełen najpiękniejszych branek, tak pięknych dziewek, jak były u mnie, świat nie widział. Dla samego sułtana miałem odaliskę... on wszystko pobrał, zagrabił, rozpędził, spalił; on...

— Przestań! — rzekł z powagą sędzia — nie ciebie pytałem, nie ty masz odpowiadać! — a zwróciwszy się do Jurasia rozkazał:

— Mów! Odpowiadaj!

Chmielnicki milczał jeszcze długą chwilę, w końcu rzekł z wahaniem i niewyraźnie:

— I tego się nie zapieram... Ja się niczego nie zapieram... Bom zawsze działał sprawiedliwie.... zawsze... więc i teraz słusznie się broniłem... przed... Orun mnie oszukał... Orunicha nazwała zbójcą... mnie, księcia! Ja dziewek nie brałem, same się rozbiegły... Ogień powstał przypadkiem... a skarby... może Orun sam uwiózł, jako i najpiękniejsze dziewki...

— Kłamco! Rozbójniku i złodzieju bezecny! — zawrzasnął z wściekłością Orun, lecz basza kamieniecki powstał i rzekł surowo.

— Milcz! Nie tyś tu sędzią!

Następnie on i drudzy dwaj baszowie spojrzeli na siebie, potem podnieśli w niebo oczy, jakby w chmurach chcieli wyrok wyczytać; trwało to krótką chwilę, spojrzeli znowu na siebie, pokiwali głowami, a przewodniczący zwrócił się ku Tatarom, stojącym ze stryczkami i skinął na nich.

Na ten znak dwóch Tatarów przysunęło się do Jurasia; jeden związał mu sznurem ręce, drugi stryczek na szyję zarzucił i wyprowadzili go z pod galerji. Straż i tłumy ludu ruszyły za skazanym.

Za mostem, zwanym do dziś tureckim, stała szubienica, pod nią był dół wykopany.

Książę szedł na miejsce kaźni spokojnie, nie mówiąc ani słowa, lecz blady był, jak chusta i wyglądał ponuro, na prawdziwego, niepoprawnego zbrodniarza.

Nikt Jurasia nie żałował; tłum zachował się obojętnie, z pogardą spoglądając na skazańca. Mieszkańcy Kamieńca zwyczajni byli takich egzekucyj, bo sądy tureckie niemi się zawsze kończyły.

Gdy już Tatar przymocował stryczek do szubienicy i pętlę zakładał na szyję Chmielnickiego, ten rzucił jedno spojrzenie na tę ziemię rodzinną, którą jego ojciec uczynił tak nieszczęśliwą.

Jakież uczucia bolesne musiały przenikać tego syna hetmańskiego, któremu ojciec, przez zdradę i potoki krwi niewinnie przelanej, chciał tron zapewnić, a który panowawszy nie całe dwa lata, jako sługa pogański, w hańbie i poniżeniu, miał oto teraz skończyć na szubienicy?

Nagle twarz Jurasia nabiegła krwią, oczy ogniem nienawiści pałające wlepił w jedno miejsce i wyciągając rękę w tym samym kierunku, krzyknął:

— Za... Zachar! To on! Tam! Też winowaj...

Wtem Tatar sznur zaciągnął, książę nie dopowiedziawszy już ostatniego słowa, zawisł w powietrzu.

Tak to marnie i haniebnie zginął ostatni potomek tego, prawdziwie szatańską pychą opanowanego człowieka, Bohdana Chmielnickiego, który nie cofnął się przed żadną zbrodnią, byle dopiąć swego celu, i cóż zyskał?

Hańbę tylko u potomności, która się nim brzydzi, jako nikczemnym zdrajcą, który dla dogodzenia sobie, nie wahał się rzucić matki ojczyzny pod stopy jej najsroższych wrogów.

Bohdan Chmielnicki umarł w rozpaczy, przeklinany przez własny lud; synowie jego zginęli marnie, bo Bóg stanął na drodze ich zamiarów. Oni zaś, w swem grzesznem zaślepieniu pychy, nie pamiętali, że jest Pan, który pozwala człowiekowi działać, ale rządy sobie zachowuje.

X.

Długa i sroga zima pokryła grubym płaszczem śniegu całą Litwę, która pod tą białą powłoką zdawała się zmienioną w pustynię, tak tu było spokojnie i cicho.

Sulejki pana Mirskiego i połączone z niemi dwa duże folwarki, leżały wśród głuchych lasów, a teraz ciężka zima i wielkie śniegi oddzieliły je od świata; ale też nikt nie tęsknił w Sulejkach za światem, bo mieszkańcom starego, drewnianego dworu zdawało się, że najpiękniejsza wiosna zakwitła.

Dobra sulejowskie należały niegdyś do starożytnej i bardzo bogatej, lecz już wymarłej rodziny litewskiej. To też wszystkie zabudowania i ogród były niezmiernie obszerne, ale zaniedbane, bo w ostatnich czasach właściciele tu nie mieszkali, a komisarze woleli mieścić się w oficynie, gdzie im było weselej, niż w wielkiem, ponurem dworzysku.

Dzisiaj jednak dwór lubo zewnętrz czarny od starości, wspaniale ma urządzone komnaty: wszędzie dywany, bogate opony, zwierciadła, obrazy, pięknie rzeźbione sprzęty, ławy i krzesła kosztowną pokryte materją. Nawet kwiaty, tak trudne o tej porze, są tutaj w pięknych kubkach i donicach.

W jednej z komnat przed kominem, na którym palą się ogromne karpy sosnowe, ogrzewając i oświetlając zarazem pokój, bo mrok już zapada, siedzi w ozdobnem krześle nasza Ksenia, dziś już pani pułkownikowa Mirska.

Przed nią na stole stoi kwitnąca w doniczce róża, leżą krosna z rozpoczętą prześliczną robotą i koszyk pełen różnobarwnych, jedwabnych i złotych nici.

Pani Stefanowa ślicznie wygląda w szafirowej, powłóczystej sukni, obszytej miękkiem, puszystem, popielatem futerkiem. Twarzyczka młodej pani w niewoli zawsze blada, okraszona jest teraz lekkim rumieńcem, a czarne oczy, dawniej zawsze poważne i smutne, mają dziś wyraz niewypowiedzianego szczęścia, w tej chwili nawet upojenia i radosnego rozmarzenia.

Ksenia trzyma w jednej ręce pasmo różowego jedwabiu, snać niedawno haftowała, lecz zbliżający wieczór przeszkodził jej pracy; drugą rękę oparła na stole, śliczną główkę na ręku i błyszczącemi oczyma wpatruje się w ogień, podczas gdy myśli poleciały wstecz i z roszkoszą przebiegają raz jeszcze to, co zdarzyło się w ostatnich miesiącach.

Ale choć to tak niedawno, pamięć zawodzi panią pułkownikową i niektórych chwil wyobrazić sobie wyraźnie nie może, a znowu niektóre stają jej jakby żywe w oczach.

Pamięta naprzykład doskonale, jak z Jeryną drżące i strwożone przekradały się przez ogród Oruna, pamięta, że doszły do parkanu, ale tu nagle pamięć jej się mąci i nic wyraźnie sobie nie przypomina. Wie tylko, że naraz ogarnęło ją uczucie niewysłowionego szczęścia, spokoju i bezpieczeństwa, jakiego od śmierci ojca nie zaznała dotąd. Nawet całej podróży, z Niemirowa do domu pana Błockiego nie pamięta, tylko sobie przecież przypomina, że leciała na koniu, jakby na skrzydłach wiatru, a taka zadowolona, tak już nic nie pragnąca, że chciałaby była tak lecieć do śmierci; więc tylko w wielkiej wdzięczności i radości powtarzała w głębi serca:

— Dzięki Ci o Boże i Tobie Matko Najświętsza!

Sama o sobie nic też nie mówiła, lecz snać Jeryna opowiedziała wszystko, bo pan Stefek tak dobrze wiedział, co przeżyły u Oruna, jakby tam mieszkał razem z niemi. O tem, co cierpiał pan pułkownik w niewoli, jak się niepokoił o swoją narzeczoną, jak myśl o jej nieszczęściu była mu sroższą męczarnią, niż głód, pragnienie i okrutne poniewieranie przez Turków, opowiadał szeroko i długo Maksym. A biedna Ksenia aż się wstydziła, że mogła tak szlachetnego młodzieńca posądzić o zapomnienie świętego obowiązku, jak pan Stefan nazywał uwolnienie starościanki z niewoli.

O całem zaś poświęceniu Maksyma prawił pan Mirski wspominając, jak po nieudanej ucieczce siedzieli zamknięci i oczekiwali powrotu Bogusława; aż gdy minęło kilkanaście miesięcy na daremnem czekaniu, wtedy Maksym, z narażeniem życia, uciekł z więzienia i poszedł prosto do Kamieńca, gdzie się dowiedział o śmierci zacnego komisarza.

Na to wspomnienie łzy stanęły w oczach pani pułkownikowej, przeżegnała się pobożnie i gorąco westchnęła za duszę Bogusława.

Potem znowu przypomniała sobie dalsze opowiadanie pana Mirskiego w podróży. Z Kamieńca udał się Maksym do króla, a ten wzruszony niedolą pułkownika nie puścił starego sługi na Litwę, ale z własnej szkatuły dał potrzebne pieniądze; nadto uwolnił Jan III dwóch znacznych Turków, którzy dali słowo, że za nich zostanie wypuszczony na wolność pan Mirski, i tak się też stało. Maksym i dwaj Turcy dotarli szczęśliwie do Carogrodu, a w kilka dni później zostali wolni pułkownik i Kijaczka, za którego Maksym zapłacił królewskiemi pieniądzmi.

Obrachunek.

— Idem do wos moiściewy w piękne popołednie niedzielne, coby wom cosi opedzieć. Siadojciez prosem piknie ka fto chęć mo i słuchojcie. — Zedy ono ta kozdy cłek sumienie swoje mo, jacy nie kozdy w nie wierzy. Jednemu sie zdaje, co jacy woli swoje uzyje, a sumienie pódzie prec. Podzie wtorzy zasie to juz na toten świat z miętkiem sumieniem przychodzom i sie niem rządzom. To tym wośnie nie wszejdy dobrze sie wiedzie, ale kiej padoł ten opuscom, a przed Boskim sądem stanom, to sie jem wośnie opłaci. Wierzcie kiej fcecie abo nie, ale wom powiem, co toci wośnie nolepsi gazdują i przed Boskim majestatem staną nie z próżnemi rękami — ej nie.

Beł hań na Połomi kole Rytra knop, nazywoł sie Wojciech Turoń. (Niekzeta z Bogiem spocywa, bo juz nie zyje).

Gazdostwo Turonia beło wośnie takie, co juz nic do niego dołozyć ni mozno — skońcone. Budynki nowe, piekne, z pazdurami potrefernie wyrzniętemi, śpichlerz cudacnie przyozdobiony krepinkami z ganeckiem i kaplicusiom, co sie w ni święci pańscy modlowali i śnie błogosławieństwo na osiedle słali. Stodoła wielgo, obserno, a przed niom kierot na dwa konie — a jakze! W igielniku owce raźno pobekiwały, w stajni konie zdrowo pyrskały, a pod ścianom wylegiwały sie kury nieśne — tuste. Kogut z cerwonemi piórami w ogonie pusył sie swojom urodom i bokiem wgóre pozieroł, cy ka jastrząb, abo jaki oreł nie leci.

W chałupie Turonia kole obraźne izby, co piekne groty miała, beła drugo izba pomniejso, co sie w ni mieściuł warśtat tkacki. W toty to izbie on Wojciech Turoń cołkie swoje zycie przesiedzioł i przetkoł. Hej, samo tak wośnie, jak inny przeorze, przehandluje, przegrzysy.

Toruń chop beł przygarbiony, z wielgachnemi wąsiskami pod nosem, z wosami na starą mode — dugiemi, ftore kęjniekęj siwiały juz. Siedzioł wszejdy za warśtatem i tkoł piekne pótno i dery krociaste. Schodzili sie do niego ludzie z cołkif okolic, ze to wiycie barz pieknie — gęste pótno tkoł.

Baba Toruniowa marno beła, jacy zawiele pyskato. Ale to ta wiycie duzo takif bab na świecie jest i nic na to nie poradzi.

Dzieci Turonie ni mieli, jacy chowanicę, co ta ją kajsi jakosi dziewucha w mieście nalazła, zywić nie fciała, to ta oni Turonie sierotę wzieni i chowali — hej.

Toruń chłop beł opyrskliwy i mało fto do jego humoru trafieł. Mówięcy niewiela, Turoń patrzył wszejdy bokiem, jak coby nie fcioł coprydzy gościa wyzbyć. Ludzie go przecie sanowali i zdaleka przędzę nieśli, a jak to po zwycaju — to spyrki, to kiełbasy, to araku, to rumu naznosili, coby sie płótno lepsi zbijało.

Zyli wej Turonie, jak u Pana Boga za piecem.

Jakosi roz ku jesieni, on Turoń zacon niedomagać. Ni to chorzoł, ni to zdrowioł, cosi mu brakowało, a som dobrze nie wiedzioł co. A poreście moze i wiedzioł.

Wośnie kopali wszędy zimioki, kiej do Turonia przysła po prośbie cyganka. Cygany jak cygany — ludzie noremne są, ale ze opatrzenio zodnego ni majom, to ik trza spomóc. Ale Turoń som cłek robotny, kiej oną cyganke uźroł, wzion do ręki habine i dalize do baby. — Tu mi bedzies — pado — po obejściu sie wiercić, coby mi co zginęło, abo cobyś mi co urzekła! hyboj za osiedle co tchu, niek cie ocy moje nie widzom!

— Ej gazdusiu, gazdusiu — pado cyganka — cobyście ta kielka zimioków dali, tobych miała co do gorka wrazić...

— Hyboj prec, pókim dobry! darmozjadom zimioków dawoł nie bede; kury mom, świnie, psy owcarskie, to mo fto zjeś.

Wtej sie ona biydno cyganka ozzoliła i pado — hej, niewiela wom juz do trumiane deski, nic z sobom nie weźniecie, a takiście chytry — ostańcie z Bogiem.

W Turonia jakby pieron trzas. Z podniesioną rękom, z ozwartom gębom stoł, a ocy patrzyły kajsi daleko, dali niźli zwycajnie. Zasie potem westchnon ciężko nie ltko i bardzi zgarbiony niźli zwycajnie do izby, kęj warśtat sie mieściuł wset.

A kiej se na wysokim zydlu siod, to nie wzion jako zwycajnie cołenka do ręki, jacy sie wpatrzół kęsi przed siebie jakby wej cegosi pilnie sukoł. Jaze nalos sytkie swoje roki przezyte.

I uźroł wośnie Turoń, jak beł bidnym pastuchem, co jacy kawoł ugoru pod lasem mioł; jak skleciuł se malućkom klytke i w ni stary, po krzesnym warśtat tkacki postawiył, jak naucony potrose przez krzesnego do one roboty sie wzion i myśloł — ej myśloł, jakby tu gazdom na okolice być i sytko, co potrza, paradnie mieć. Jaze wymyśloł. Od kozde przędze oprócz zwycajne zpłaty wymierzył se podotek. Jeśli beło więcyl — to więcyl, zasie jeśli mni — to mni. Od kozcego pótna bodaj kielka pasem przędzy na swojom strone broł.

Bywało nieroz, ze baba jakosi przysła i jak to ta niechcęcy w cudzym domu harmideru cynić, grzecnie pedała: — Ej, wiycie, kumie, barz pieknie pótno tkocie, jacy wiycie mało... Kiej jech łońskiego roku dawała do Suche Strugi, to wośnie o dwa łokcie więcyl beło... A na to Turoń: — Zeby kiej wom tam więcyj dawali, to pocoście do mnie przyśli? a poreście pótno gęściejse więcyl przędzy zabiero. Na tem stajało. Babina, coby sie pogodzić, wycigała z zonadrzo flascynę z arakiem, Turońka zgotuwała harbaty, napili sie, plackiem zagryźli i baba zasie na drugi rok przędzę przyniesła. Znosili ludzie Turoniowi majątek jak pscoły miód do ula. Na jałowym ugorze stanęła nopierz chałupa, pote budynki gospodarskie. On ostem porośnięty ugór zamieniuł sie w łąki i role, a roki sły. Stawały w rzędzie jeden kole drugiego jak wośnie kołki w płocie i licyły cudze krzywdy.

Turoń ostoł piyrsym gazdom. Obejście mioł, ze daleko sukać, ale nigda nie beł radosny i nigda nie beł som w swojem sumieniu. Wszejdy przewszejdy stoły kole niego one roki krzywd ludzkif. Cy społ, cy tkoł, cy jod, cy do kościoła porom koni jechoł, cy w ławce kościelny w nowem obleceniu zasiodoł, — wszejdy to beło ś niem. Moze sie i dobrze nad tem nie zatrzymowoł, moze i przywyk po telim casie, ale wej teroz, siedzęcy na wysokim zydlu przed warśtatem, wtory kozdą cudzą nić bez te roki licył, — teroz wej, kiej mu cyganaka wypomniała chytroś — zbocył se Turoń sytko...

Cięko wstoł, jaze zydel zaskrzypioł i bardzi niźli zwycajnie przygarbiony do stajni poset, konie som wyprowadziuł i zacon do woza zaprzęgać. Kiej go baba zapytała kęj jedzie, ofuknoł jom i pedzioł: co ci do tego. Jadem kaj sie mi zdo. — A beł to wośnie wtorek i targ w Nowem Mieście.

Na odwiecyrz Turoń przywiózł do chałupy pełne półkoski czesanego lnu.

— Na coz ci to? — pyto sie baba; a łon na to. — Ty bees prząś, a jo bede tkoł. Najmies jesce ze dwie abo trzy baby, coby przed godami skończyć.

— Zedy cłeku! na co ci na staroś tela pótna? Cy mało mos kosul i gaci?

— Co ci o to, rób co ci kozem, boś od tego.

Turońka nie spierała sie juz, ale pocichu w dusy to se myślała, ze jej chop do cna zgupioł.

Turoń zasie tkoł i tkoł. Ludziom na okolice ospedzioł, ze chory jes i roboty bez cołką zimę przyjmowoł nie bedzie, a zasie domownikom srogo przykozoł, coby nikomu nic nie godali, ze łon pótno robi.

Po godnif świętaf, kiej cołko powała zawiesono beła pótnem, Turoń poseł do lasu, wycion trzy kije lescynowe, pieknie do kantu ostrugoł i zacon cosi licyć. Co zlicół, to se na kiju nacion znak. Chop beł trzyźwy, pamięć mioł dobrom, tozto licół: — Jantoniowo z Kosarzysk dawała przędzę bez śterdzieści roków po sześdziesiąt łokci — podotek łokieć od dziesięciu — dwa sta i śterdzieści łokci... — Michalicka z Przysietnice — bez dwadzieścia pięć roków po łosiemdziesiąt łokci... i tak dali, coroz dali, jaze onemu Turoniowi wosy na głowie dęba stanęły. — Som nie poradzem — myśli — musem pótna dokupić. Jaze zasie wybroł sie do Nowego Miasta i kupiył barz duzo pótna ale biyłonego, bo inaksego nie dostoł. Baba myślała, co juz do cna zgupioł. Ale kiej Turoń zacon pótno na łokcie mierzyć i wydzielać, kiej se zaś na kijku znaki zacon nacinać, cosi ji w gowie zaświtało i ręce we wosaf utopieła. — Wej — pado — sąd Boski. Pote przed obrazem uklękła i sie mocno w piersi biła prosęcy Boga o zmiłowanie.

Turoń obrachunek ukońceł, chowanicę do sie zawołał i pado:

— Pódzies mi z totem pótnem tam ka ci kozem, pokwolis Pana Boga i pokłonis sie pieknie ode mnie. Pótno na ławie abo na stole połozys i rzeknies: „gazda mie tu przysłali z wasem pótnem, ftore bez wiela roków u nich lezało. Pana Boga w serce weźcie, o nic nie pytojcie i nie przeklinojcie. Zasie ostańcie z Bogiem i niek sie wom sytko dobrze wiedzie".

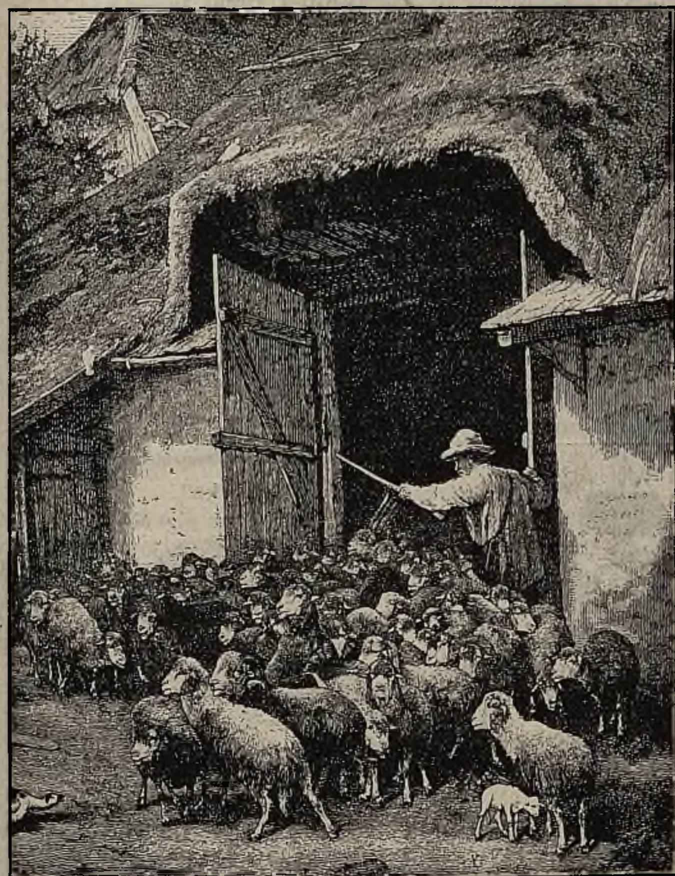
A kiej łona chowanica ostatni kawoł pótna odniesła, Turoń zleg w obraźny izbie i kozoł do sie księdza przywieź. Ni mioł juz siły do kościoła jechać.

Wośnie wiesna juz sła i słonecko dogrzywało, ale Turoń z łózka podnieś sie ni móg. Schodzili sie do niego gazdowie i gazdynie, kozdy scyrze pozałowoł, cosi kajsi dorodzoł, ale kozdy w Turoniowych ocaf widzioł juz śmierzć, ftoro sie z wszelakif łyków i ludzkif doradzań naśmiwała. Nik jednem sowem Turonia o nic nie pytoł, a łon zasie dopierz teroz patrzoł w ludzkie źrenice prosto.

A kiej w barcickim kościele ozdzwoniły się zwony na zmartwychwstanie Pańskie, kiej procesyjo trzeci roz obechodziła kościół, Turoniowa dusa na źwięku zwonów wznosiła sie do nieba, zeby przed Bogiem zdać swój obrachunek. *Stef. Siatkowska.*

Z KIERDZIELEM NA HALE.

Na Zielone Świątki lub też po Zielonych Świątkach, zależnie od tego, jak wczas śniegi w górach stopnieją, rusza kierdziel czyli stado owiec ze swej



ciasnej smrodliwej obory w góry na hale, na ugory, aby tam kilka miesięcy spędzić na swobodzie, na świeżej soczystej trawie.

O jakże pięknie wygląda taka wyprawa stada tych naszych poczciwych owieczek na hale! Jakże pięknie wygląda obraz namalowany przez malarza, przedstawiający właśnie stado owiec z pasterzami.

Ileż to uroku dodaje stajence Betleemskiej umieszczenie wokół stada owiec z pasterzami.

A spojrzyjmy, jak wygląda taka podróż stada owiec na hale.

Całe stado niby rzeka wełnista posuwa się drogą. Najpierw idą dójki, rozumne przodownice, które już po inne lata na hale chadzały, za niemi toczą się posłuszną masą, kiwając głowami białe i czarne młode owce. Za tym całym stadem kroczą młodzi juhasi w ciemnych koszulach, czerwonych serdakach, w kapeluszach z białemi kostkami albo muszelkami, z wełnianemi torbami u pasa i ciupagami w dłoniach. Stado można rachować na trzysta sztuk i więcej. Ogania je naokoło gorliwie pies biały, średni, owczarek, z wywieszonym od trudu płomiennym ozorem, a radością w śmiejącej się paszczęce i oczach, iże tak ważną dano mu wypełniać służbę. Dotarłszy wreszcie na oznaczone miejsce, zaczyna się rozdzielanie służby między młodych juhasów, a także przypinanie owcom dzwonków w rodzaju puszek blaszanych, by kręcąc się w lesie nie potraciły się. Zaginione owce często odnajdują psy owczarskie, które dopadłszy taką zbłąkaną owcę, dobrze wyszarpią za kudły, by uciekała w stronę swojego stada i nie ważyła się go więcej opuszczać.

Juhasi sporządziwszy sobie i ubrawszy wstążeczkami baty, trzaskają, przyśpiewując, a echo po kilkakroć odbijając się powtarza trzaskanie, co ich bawi niezmiernie.

Uprzyjemniając sobie życie na halach w różny sposób, juhasi wygrywają też na fujarkach, które z sobą przynieśli.

Przy smrekach.

Tatry stały w zadumie. Ciche, poważne, spiętrzone; ściany skalne o nagich szczytach, o żlebach czarnych i przepaściach ciemnią smrekową odziane, dzikością surową tchnące — zaczarowane.

Różową mgłą powleczone sine. Wnet też stanęły w całym przepychu przy wschodzącem słońcu. Huczno było na weselu Kasi Juchasówny, Jontek przyszedł na wesele silnie wystrojony: guńkę niedbale na ramiona zarzucił, kapelusz na bakier zsunął i przechodził się do dziewek, cholewki smaląc. Hej! najurodniejszy był na całe mPodhalu. Muzyka urznęła „skocznego", Jontek objął Marysię Gąsienicównę i powiódł do izby, rzucił muzyce pieniądze, zaśpiewał skoczną piosenkę i zaczęli tańczyć. Pomęczyli się inni, tańczyć przestali, a oni oboje hulali do zapamiętania, po twarzach łuny im latały, a oczy gorzały jak ognie. Marysine wstążki fruwały po izbie. Koło północy Jontek pewny siebie, podciągnął lekko rękawy i sam zaczął tańczyć „zbójnickiego". Hej! Przestali rozmawiać, poprzysuwali się bliżej i patrzyli, patrzyli. Cudnie tańczył Jontek; co skoczy, to pod powałę, co wyrzuci nogę, to tak gibko, aż dech zapierało. Całą duszę włożył w ten taniec. Lecz wnet orle oczy jego nie dostrzegły w izbie Marysi, wypadł z izby i pod sfrekami ujrzał stojącą samotnie Marysię, skoczył do niej i ta bez słowa pozwoliła się utulić Zcałował maki jej ust, pytając: „kochos me Maryś mojaś?" — rozchyliły się wiśniowe jej usta w uśmiechu, a zęby białe jak paciorki na nitkę nanizane zabłysły. Twoja Jontku, twoja, odpowiedziała i tak stali zapatrzeni i okrutnie rozmiłowani. Nad niemi błyszczał przepych gwiaździstej nocy i szumiały uroczyście wyniosłe smreki. Ciemna toń nocy rozpływała się już w brzasku dnia. — Dumne smreki stały u stóp Tatr, szemrzące tajemną symfonję Miłości.

Stefanja Włodkówna.



Cłek tak sobie nieraz musi śtuderować. jak tylko zdoli jego pała, a jak śtuderować nie umi, to tez i zadnych grajcarów znikąd wykalkulować nie moze.

W zesłą niedzielę chciałem se jechać do Krakowa do nasych gazyciarzy z „Roli", ale ze to i teraz i nase cytelnicki „Roli" zabacyły sobie o mnie, bo zadna grosicków dla mnie nie posłała, tak cłek musiał w inny sposób studerować, aby kielka złotych na hajzybon było.

Chciałem tez i przy tej okazyje i zobacyć krakowskie dzieuski, bo podobno kiecki sobie juz przyśtukowały i nie chodzą w takich króciuśkich poza kolana, ale jak przódzi goliły sobie kudły na głowie prawie ze do goły skóry, tak teraz golą sobie kudły nad okami, a późni taka ogolona bierze se ołówecek i śtrychuje sobie skośne krysecki nad okami, coby wyglądała jak jaki Japończyk, albo Chińcyk, tylko ze juz oka skośnego se zrobić nie moze, jak to robią z capkami na głowie, ze sobie je całuśkie na jedno ucho wsadzają, coby juz jak jednem uchem wysłuchają, drugiem nie wyleciało.

Jak se pojźryć na taką dzieuchę miastową a i zeniatą tez, to się zdaje, coby ona na cłeka ciągiem świdrem pozirała. A są pono i takie, co to chodzą tak jakby jem chłop ze dwa zęby wybił i krew jem się leje i wtedy gadają, ze mają ustecka koralowe. Posmaruje se to gębę jakąsik farbą cyrwoną i tak se udaje, jakoto jest piekno, aby tylko tego chłopa ocyganić i zeby i taki miastowy chłop prędzej dał się złapać, jak nie na to świdrowate poziranie, to na koralowe ustecka.

Ale nietylko te miastowe, ale juz i te wsiowe dzieuchy i zeniate baby tez se zacynają gęby cerwonym śwarcem murować i nad okami kudły golić. — Zdaje się, ze to juz tak idzie jak ta zaraza między młode i stare baby. Juzem se to tak myślał, cy to malowanie i golenie nad okami nie przychodzi od murzynów, bo takie wydziwianie to jeno na obrazkach w „Roli" u murzynów w Hameryce stało.

Jak to u nas chłopów, to zadnego takiego dziwactwa nie widać. Kazdy z nas i to jesce z kawalirów, chociaz sie nie maluje, to jest se jak malowany. Bo przecie i dzieuchy ciągiem se śpiwają śpiwki o chłopcach malowanych, a zasie nigdy nie śpiwają o dzieuchach malowanych, chociaz se całe gęby niktóre wymalują.

Dokumentnie o tych miastowych wymalowanych dzieuchach to opowiem jesce, jak się do Krakowa wybierę, bo teraz grajcarów mi nie stało na hajzybon. Chciałem juz Wojtkowi portki sprzedać, zeby kielka złotych było. Ale Wojtek zacął portki oglądać dokumentnie i rzece:

— Ilez ty za te twoje portki kces?

Rzekłem mu, co ja tylko tyla kcę, coby mi na hajzybon do Krakowa starcyło.

— No to ile?

— Dziesięć złotych! — rzekłem mu.

Wojtek się zafrasował i rzekł mi:

— Widzę, Maciuś, po tych twoich portasach,ześ ty pewnikiem był na wojnie iześ ty w śpitalu lezoł marod. Ale do ciebie to Moskale molami strzylali, bo mas dziesięć dziur w portkach od moli, i za kazdą dziurę to kces złotygo.

Wojtek juz się ze mną nawet nie targował, oddał mi portki i rzekł, cobym se sam je włozył, zeby się na moich gicalach rozleciały.



„Majówka".

Słonko majowe ku ziemi się chyli,
A dzwon kościelny z wieży się odzywa,
I do kościółka wszystkich wiernych wzywa,
By na „majówkę" czemprędzej przybyli.

Jak miło, błogo w tym wiejskim kościółku,
Gdy na „majówkę" zgromadzą się ludzie,
Po całodziennej swej pracy i trudzie,
Przed Panią świata poklękają w kółku.

Ołtarz Marji umajony kwieciem,
A świece płoną kiejby świętym zniczem,
Lud zapatrzony w Marji oblicze,
W tą błogą chwilę zapomniał o świecie.

Matka najświętsza ze swoich ołtarzy
Na lud zebrany spogląda łaskawie,
Błogosławiąc mu w każdej jego sprawie,
Jak dobra matka wszystkich szczęściem darzy

Słoneczko zaszło, nastąpił mrok szary,
W kościółku ucichł śpiew pieśni majowych,
Ludek powraca do zajęć domowych,
Owiany duchem Chrystusowej wiary.

Andrzej Dej.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

VI. Sudan.

Pomiędzy Nyanzą a Banalją utraciliśmy trzech tylko ludzi, jednego przez dezercję. Przyprowadziłem tu 131 Zanzybarysów, pozostawiłem 59 w twierdzy



Słoń, upolowany przez straż Stanleya w Sudanie.

Bodo, czyli razem 190 ludzi z 389; strata wynosi 50 procent. W Jambuja pozostawiłem 257 ludzi, z tych jest tylko 71, dziesięciu inwalidów. Strata olbrzymia. Dowodzi to, że choć utrapienia forpocztów były wielkie, śmiertelność jednak nie tak znaczna, jak w obozie Jambuja. Ci, co pozostają z przedniego oddziału, silni są i zdrowi, z tylnego zaś osłabieni i wychudli.

Naszkicowałem w krótkości wszelkie nasze poruszenia od 28 czerwca 1887 r. Żałuję, iż nie mam czasu dostarczyć panu więcej szczegółów. Piszę ten list wśród przedodjezdnego zamieszania i pośpiechu i co chwila odrywać się od niego muszę. Ze słów moich możesz pan jednak powziąć wyobrażenie o kraju, jakiśmy przebyli. Przez 160 dni szliśmy przez jeden nieprzerwany łańcuch lasów. Łąki przeszliśmy w dni osiem. Od północy na południe lasy ciągną się od Nyangue do południowych brzegów Mombuttu, od wschodu na zachód pokrywają cały kraj Kongo od ujścia Aruwimi od mniej więcej 29 do 40 stopnia wschodniej długości.

Jak daleko poza Kongo sięgają lasy, o tem nie wiem. Przestrzeń pokryta niemi, ma 246.000 mil kwadratowych. Nadto na północ od Kongo las pokrywa z jakie 20.000 mil kwadr.

Pomiędzy Jambują a Nyanzą spotykaliśmy się z pięciu odrębnemi narzeczami. Ostatnie z nich jest to, którem mówią plemiona Wanyoro, Wanyankori, Wanya-Ruanda, Wahha i krajowcy Karangwe i Ukerewe. Grunt zniża się powoli z wyżyn płaskowzgórza, położonego nad Nyanzą, aż do rzeki Kongo z wysokości 5.506 do 1.400 stóp ponad powierzchnię morza.

Na południe i północ drogi, którą przebywaliśmy przez stepy, widzieliśmy łańcuchy niezbyt wysokich wzgórzy i oddzielne góry i pagórki. Na północ nie widzieliśmy większego wzniesienia nad 6000 stóp nad powierzchnię morza, lecz na 50 mil od obozu naszego przy Nyanzy, widzieliśmy wysoką górę z wierzchołkami pokrytemi śniegiem, wznoszącą się przypuszczalnie o jakie 17 do 18 tysięcy stóp nad powierzchnię morza. — Nosi ona nazwę Ruewenzori.

Zanim zakończę swój list, słów jeszcze kilka o Eminie Baszy.

Basza ma pod sobą dwa bataljony regularnego wojska; pierwszy złożony z 750 ludzi zajmuje Duffle, Honyu, Labore, Muggi, Kirri, Beden, Redżaf; drugi bataljon, składający się z 640 żołnierzy, stoi załogą w stacjach Wadelai, Fatiko, Mahagi i Mswa, to jest między Nyanzą a Nilem na przestrzeni 180 mil geograficznych. Wewnątrz na zachód od Nilu, Emin utrzymuje jeszcze cztery małe stacje, tak, że ma ich ogółem czternaście. Oprócz tych dwóch bataljonów, posiada jeszcze wcale poważny zastęp nieregularnego wojska; składają je marynarze, rzemieślnicy, służący.

— Gdybym się zgodził wyruszyć stąd — mówił mi — miałbym ze sobą 8.000 ludzi.

— Na twojem miejscu nie zawahałbym się ani chwili — odpowiedziałem.

— Masz pan poniekąd słuszność, lecz mamy tu dużo kobiet i dzieci, tak, iż wszystkich byłoby 10.000; stąd potrzebaby nam wielu tragarzy.

— A to dlaczego? — spytałem zdziwiony.

— Przecież kobiety ani dzieci nie mogą iść o własnej sile — odparł mi.

— Kobiety, przeciwnie; poszłoby im to na zdrowie. Co zaś do dzieci, możnaby je przewieźć na osłach. Słyszałem, że masz ich do 200. W pierwszym miesiącu tabor ten zawadzałby wam, lecz powoli kobiety przyzwyczaiłyby się do marszu. Żony moich Zanzybarysów, podczas mojej drugiej wyprawy, przeszły pieszo Afrykę. I czemużby te miały być słabszemi? Nie lękaj się, dopiszą ci lepiej od mężczyzn.

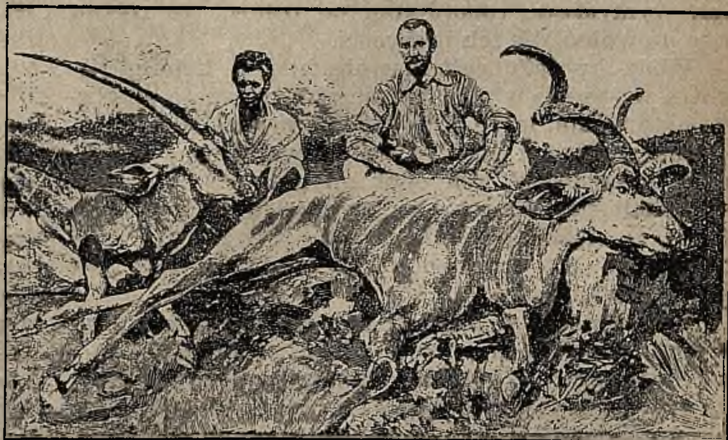
— Trzebaby nam było w takim razie wielkich prowizyj na drogę.

— Zapewne; lecz masz, o ile wiem, kilka tysięcy sztuk bydła, tak, że o mięso nie potrzebujecie się troszczyć, a kraj, przez który będziecie przechodzili, dostarczy wam ziarna i jarzyn poddostatkiem.

— Pomówimy o tem jutro — odrzekł mi.

Dnia 1 maja. — Postój w Nsabe. — Basza wylądował z parowca Chediwa około godziny pierwszej po południu i wkrótce rozpoczęliśmy znowu naszą rozmowę.

— To, coś mi pan powiedział wczoraj — rzekł — doprowadza mnie do przekonania, iż lepiejby było, gdybym stąd odjechał, Egipcjanie chętnie na to przystaną; jest ich ze stu, oprócz kobiet i dzieci. Nawet gdybym pozostał, chętniebym się ich pozbył, gdyż podkopują moją władzę. Gdy uwiadomiłem ich, że Chartum został zdobyty, a Gordon Basza wzięty do niewoli, dowodzili Nubijczykom, że jest to historja zmyślona, i że wkrótce ujrzą płynące po rzece okręty



Upolowane antylopy przez wyprawę Stanleya w Sudanie.

dla ich wyzwolenia. Wojsko nieregularne pójdzie za mną wszędzie. Co zaś do regularnego, wątpię, czy się zgodzi na opuszczenie tych stron; wiedli tu życie tak swobodne i szczęśliwe, że nie zechcą zapewne opuszczać tego kraju dla Egiptu. Żołnierze pożenili się tu i wielu z nich ma haremy. Ale czy sumiennie byłoby porzucać ich tu na pastwę losów? Wszak to się równa ich zgubie. Musiałbym im zostawić broń i amunicję. Bardziej ambitni i śmielsi chcieliby objąć dowództwo, wszczęłyby się kłótnie, rywalizacje, nienawiści i wśród tych walk zginęliby wszyscy co do jednego.

— Gdybyś zdecydował się tu pozostać, cóż stanie się z Egipcjanami? — spytałem.

— Prosiłbym pana w takim razie, abyś zechciał wziąć ich ze sobą.

— A teraz, Baszo, dowiedz się od kapitana Casati, czy zechce iść z nami do morza, gdyż dostaliśmy instrukcję, ażeby w razie spotkania z nim przyjść mu również z pomocą.

Kapitan Casati odpowiedział za pośrednictwem Emina Baszy, że to, co on (Emin) postanowi, będzie i dla niego regułą postępowania.

— Jeżeli gubernator pozostanie — mówił — pozostanę i ja. Jeżeli on wyruszy, pójdę z nim.

— W takim razie — rzekłem — przyjmujesz Baszo wielką na siebie odpowiedzialność.

Zdanie to zostało przetłómaczone Casati'emu.

Kapitan odpowiedział:

— Rozgrzeszam Baszę z wszelkiej co do mojej osoby odpowiedzialności, gdyż decyzja moja będzie owocem wolnej i nieprzymuszonej woli.

Starałem się dosłownie niemal powtórzyć tę rozmowę.

Szczegóły podane tutaj objaśnią pana co do naszego położenia.

Pozostawiłem panu Jephson trzynastu moich Sudańczyków i przesłałem pismo, które ma być odczytane wojsku, jak tego życzył sobie Basza. Resztę pozostawiłem do czasu, gdy powrócę do Nyanzy z połączoną wyprawą.

Przed upływem dwóch miesięcy Basza zamierza odwiedzić Bodo wraz z p. Jephson'em. W twierdzy pozostawiłem instrukcję oficerom, aby ją zburzyli i towarzyszyli Eminowi Baszy do Nyanzy. Mam nadzieję spotkać ich tam wszystkich, gdyż zamierzam udać się znowu do Nyanzy, krótszą tym razem drogą.

Pozostaję z szacunkiem

Henryk M. Stanley.

Pamiętaj abyś dzień święty święcił.

(Legenda).

Pan Bóg jest cierpliwy, ale pamiętliwy!

Tak mawiali obywatele Marklowic coś przed stu laty, patrząc, jak czy święto, czy nie święto, młynarz Niemiec Kohlbrannt meł zboże, jakoby chciał dla całego świata dostarczyć namleć.

Nie zważał on na żadne święto, chociażby nawet największe. — Młyn wodny, wśród rozległego pola, wśród roli wieśniaczej, w uroczem miejscu, turkotał dniem i nocą.

Sług miał parę również z Niemiec sprowadzonych, którzy jak ich pan i oni nie zważali na święta. Lud garnął się w niedzielę do kościoła, a hen, w młynie woda wesoło huczała, na koło młyńskie spadając. W młynie zaś rozlegały się nawoływania, klątwy i bieganina. Łajał gospodarz sługi na czem świat stoi, nadawał do świń robotnikom; ci nawyknieni do podobnych scen, nie wiele robili sobie z tych „tytułów", puszczając słowa bokiem ucha.

Jeden raz, a było to właśnie w pierwsze święto Bożego Narodzenia, kiedy ludek garnął się do kościółka drewnianego, to młynarz właśnie najbardziej kłął, wymyślając robotnikom od osłów, że robota idzie im wolno, dla ich leniwości.

Woda huczała, całą nawałą biła w koło młyńskie, a w środku w młynie huczało, klekotało aż głucho było wokół, młyn cały dygotał w posadach.

Lud patrzył z podełba na takową niecną gospodarkę, splunąwszy, idąc obok młyna.

Ksiądz starowina mając kazanie do ludu, właśnie mówił, że ciężkim grzechem jest nie szanować dnia świętego, a kto przykazanie to łamie, godzien jest ognia piekielnego...

Lud wyszedł w procesji koło kościółka z chorągwiami, rozśpiewany, nucąc pieśń nabożną.

Nagle głuchy grzmot detonacyjny, wychodzący z ziemi, dał się słyszeć wokół, aż ziemia drżała, a ludziom głos zamarł na ustach. Nie umiano sobie wytłumaczyć strasznej detonacji.

W chwilę później nadbiegł goniec konny tuż ku kościółku, cały zasapany, wystraszony...

— Okropności! — moiściewy — okropności!

— Co zacz się wydarzyło? — pytano z tłumu.

— Młyn znikł pod ziemię, jeno para jakaś unosi się z miejsca, gdzie stał.

— Który, naszego Niemca?

— A juści!

— To nie ma co żałować! — kilku naraz się odezwało.

Nadszedł ksiądz, a widząc zgromadzenie ludu, wepchał się w środek, dopytując się, co mają ważnego, nad czem debatują?

— Znikł młyn z Niemcem — odrzeczono mu.

— Kto przyniósł tę wiadomość?

— Dawaj go sam, gdzie on, a ot, jegomość chce pytać!

Chłop splunął, otarł nos i tak do księdza powiada:

— Idę ze szkapą, bo to pan dziedzic mnie posłał, przechodzę „tyczonkę", patrzę, słucham, drży młyn w posadach od pilnej pracy, Niemiec jeno klnie i wymyśla, mijam młyn, myśląc w duszy, bodajeś przepadł szwabie z twą gospodarką, aliści szum i grzmot razem zmieszało, konie dały dęba, kiedy uspokoiłem je, patrzę... Rany Boskie!... ani śladu, gdzie młyn, dolina w miejscu tem wielka.

— Wieczny odpoczynek — westchnął ksiądz.

Naprawdę, gdzie przedtem stał młyn, teraz dolina, przepadlisko wielkie, woda ginie gdzieś w ziemi. Niktby ani nie wiedział, że przedtem ruch tu był szalony.

Dziś w miejscu tem lasek wyrósł zwany „kuropatniak". Źródełko wytryska z najgłębszej przepaści. Krążą, raczej krążyły dawniej różne opowiadania wśród ludu w tej miejscowości, że długie czasy słychać było w kuropatniaku" głuche tarmoszenie kamieni młyńskich, jakoby praca pod ziemią szła w największem tempie. Między ucieraniem kamieni najwyraźniej słychać było (kto posłuchał) klątwy z niemiecka i jęki głuche. Zaś długo, długo straszyło w tem miejscu, tak, że nocą porą nie można było

przejść „tyczonką“. Konie nawet parskały nozdrzami, płosząc się.

Musiano użyć ceremonijnych modlitw, by spokój zapanował w tem miejscu.

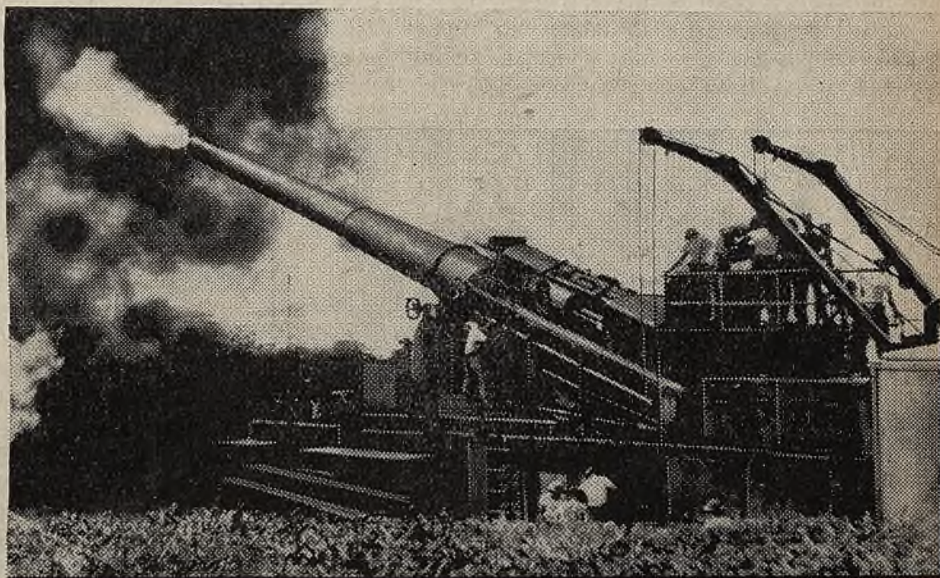
Dziś już ani wspominku z tej legendy, ptaki tylko usiadłszy na odwiecznym dębie gwarzą sobie legendę o zaklętym młynie.

Wiatr jeno smutnie jęczy nad miejsce, gdzie stał szwabski młyn, jakoby hymn pożegnalny chciał nucić smutnej pamiątce.

Dla nas jest to nauka, że powinniśmy dzień święty święcić, bo mówi stare, jak świat przysłowie: — „Kto w niedzielę jarmarczy — temu na sól nie starczy!“ *Stolarz Teofil.*

Ameryka broni swych wybrzeży

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej spodziewając się wojny z Japonją, fortyfikują, to jest uzbrajają wszystkie te objekta, które by im w razie wojny do zwalczenia wroga mogły być pomocne. Na naszym obrazku widzimy jedno z ogromnych dalekostrzelnych dział „przy pracy“ nad kanałem panamskim, które strzeże dostępu wrogom do brzegów amerykańskich. — Uzbrojenie tak rozległych brzegów nad tym kanałem pociąga za sobą wydatki idące w setki miljonów dolarów.



J. MOKRZYCKI.

W puszczy amerykańskiej.

(Powieść).

Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Podjechał tedy Wolski przed front i przebiegał wzdłuż, przypatrując się schwytanym. Stali skrępowani z ponuro spuszczonym wzrokiem, twarze ich jednak nie zdradzały strachu, lecz raczej wyrażały zawziętość.

— Wojownicy Yandotów czekają z toporkami — rzekł Taylor. — Rozkaż tylko, a głowy twoich wrogów złożą u twoich stóp.

— Nie, przyjacielu! — odrzekł Wolski. — Oni są niewinni. Zawinił biały bandyta, który został już ukarany, a tych biedaków puszczę wolno. Tak nakazuje Wielki Duch, który całym światem rządzi.

I dobywszy noża, poprzecinał więzy, krępujące jeńców, ku nieopisanemu zdumieniu wojowników indjańskich.

Wielki Duch zakazuje mordować jeńców, dlatego daruję wam życie i możecie sobie iść wolno.

Osagowie jednak nie ruszali się z miejsca, nie wierząc w wspaniałomyślność Wolskiego, gdyż nie zdarzało się dotychczas, by Anglicy, schwytanym z bronią w ręku darowali życie. Widząc jednak, że Taylor odwołał straże, wystąpił Tumba, syn Chytrego Węża i padł do nóg Wolskiemu. Ten jednak podniósł go natychmiast i rzekł łaskawie:

—Obejmij władzę nad Osagami i żyj w spokoju, a nie napadaj na swych braci, bo tego zakazuje Wielki Duch.

Wówczas zbliżył się Taylor i podał mu rękę, poczem rozpaliwszy ognisko, wypalili fajkę pokoju ku wielkiej radości obu plemion. Biali znów rozpaliwszy drugie ognisko, przypatrywali się ciekawie dzikim pląsom i tańcom, będącym objawem radości Indjan.

— Jakże wdzięczna ci jestem — odezwała się Mira do Wolskiego — jakże wdzięczna ci jestem, żeś mi oszczędził widoku krwi. Ci biedacy rzeczywiście nic nie są winni. Żyłam wśród nich około dwa tygodnie, lecz od nich żadnej nie doznałam krzywdy.

— Gdzie się państwo teraz udacie? — zapytał Roggers.

— Na razie do mojej forteczki — odrzekł Wolski — poczem do Filadelfji na wesele, gdzie sądzę, że i ty pułkowniku zechcesz nam towarzyszyć. Nie odmówisz nam tego przyjacielu?

— Gdy tylko czas pozwoli, kapitanie! — odrzekł.

— Ja sądzę — rzekła na to Mira, — że należałoby nam się udać zaraz do Filadelfji, gdyż wczoraj wysłałam na polecenie Adera list do wujka z poleceniem przysłania okupu. Pojechał z listem jeden z bandytów.

— Ach! — zawołał Wolski — w takim razie trzeba byłoby coś przedsięwziąć.

— Ja tą sprawę załatwię — rzekł Otwocki. — Państwo udacie się do forteczki, a ja tymczasem ruszę w ślad za bandytą i wczas uwiadomię pana Złotopolskiego o wszystkiem.

— Ja z panem, mister Otwocki! — zawołał James.

I za chwilę, pożegnawszy się, zabrali swe konie ukryte w owej altanie, puścili się w drogę, zaś reszta towarzystwa, przenocowawszy na zgliszczach osady, po pożegnaniu się przyjaznem z Indjanami, wyruszyła rankiem do forteczki Wolskiego.

XVI.

Złotopolski od chwili wyjazdu Wolskiego mało opuszczał swój gabinet. Siedział ponury i milczący, nikogo nie przyjmował, nawet interesy, o które zawsze dbał, teraz zupełnie zaniedbał. I ten człowiek zimny, który w życiu niczego prócz interesów nie kochał, sam siebie teraz nie poznawał, i nie poznawali

go również ludzie z jego otoczenia. Wprawdzie kochał on Mirę ojcowską niemal miłością i troszczył się o nią więcej może, niżeliby to czynił własny ojciec, lecz sam sądził, że czyni to z prostego obowiązku i nie zastanawiał się nigdy nad głębią swego dla niej uczucia. Poznał je dopiero wówczas, gdy nieszczęsny los ich rozdzielił, tembardziej, że winę tego przypisywał wyłącznie sobie, nawet nie bez racji, albowiem on przyjmował w domu bandytę wbrew jej woli i on dążył nawet do jej z nim małżeństwa. Wprawdzie czynił to nieświadomie — nie wiedząc, że pod powłoką eleganckiego i bogatego kawalera kryje się zbrod-



I nic nie mówiąc, dobywał z kieszeni kopertę.

niarz — lecz niemniej obwiniał się, że on człowiek bądź co bądź wytrawny, nie mógł się poznać na tem i tak się dał podejść.

Gdyby był, widząc niechęć Miry, zaraz go oddalił, nie byłoby z pewnością doszło do porwania, albowiem Wolski zaślubiwszy ją, byłby się opiekował nią tak, że podobny gwałt nie mógłby mieć miejsca. Lecz on do ostatniej chwili był przeciwny Wolskiemu, nie chciał nawet słyszeć o oddaniu synowicy człowiekowi uczciwemu, który pomimo, iż miał widoki dorobienia się, lecz był ubogim. On szukał bogacza i padł ofiarą oszustwa, a co gorsze — cierpiała na tem więcej Mira, która stała się niewolnicą zbrodniarza, zdana na jego łaskę lub niełaskę — słowem, popadła w straszliwe niebezpieczeństwo.

Gdy nad tem rozmyślał, czuł jakiś dziwny zamęt w głowie i pewnym był niemal, że popadnie w obłęd. Czynił, co było w jego mocy, by ją ratować; nie szczędził wydatków na najzdolniejszych detektywów, gotów był poświęcić cały swój majątek na ten cel, lecz dotychczas wszystko bez skutku. Raporty detektywów, przysyłane prawie codzień, brzmiały zawsze jednakowo: „Nie znaleziono jeszcze pewnego tropu“ i nic więcej. A od Otwockiego nie było wiadomości, jak gdyby obydwaj z Jamesem pod ziemię się zapadli. Stary już począł tracić nadzieję w powodzenie ekspedycji ratunkowej i z tego powodu popadał w coraz to większą apatję.

Pewnego dnia lokaj zameldował, że jakiś nieznajomy człowiek chce się z nim widzieć. Odpowiedział, że nie przyjmuje — lecz za chwilkę lokaj powrócił, mówiąc, że nieznajomy nie chce ustąpić i twierdzi, że ma bardzo ważne wiadomości, które może jedynie samemu panu wyjawić. Namyśliwszy się, kazał go wreszcie wpuścić.

Do gabinetu wszedł Hugo...

Lekkiem skinieniem głowy pozdrowił Złotopolskiego i nic nie mówiąc, dobył z kieszeni list zapieczętowany w kopertę, który podał staremu.

Staremu zadrżały ręce, serce uderzyło mocno — albowiem poznał pismo Miry. Rozdarłszy prędko kopertę, czytał. A w miarę, jak czytał, twarz jego przybierała kolory — raz trupio blady, to znowu purpurowy. Wreszcie skończył czytanie i rzekł, zwracając się do przybysza:

— A jakież mi zatem ten wasz herszt daje gwarancje, że zawiózłszy pieniądze, odbiorę synowicę?

— Ręczy za to słowem honoru — odrzekł Hugo butnie.

— Słowem honoru bandyty! — zauważył stary.

— Mister von Ader jest człowiekiem honorowym, odrzekł Hugo dumnie — i on słowa dotrzymuje — od dzikich też może pan być bezpieczny — oni bowiem ulegają woli pana Adera. Zresztą gdyby nawet — to niema innego wyjścia. Albo pan zaryzykuje i dostawi pieniądze, albo — nie zobaczy pan więcej synowicy, która na wypadek odmownej odpowiedzi, zostanie oddana jako niewolnica wodzowi Osagów. Wybieraj pan...

— Nie mam wyboru — odrzekł stary — muszę się zgodzić. Gdzie zatem spotkanie?

— Jeśli pan pojedzie osobiście — czy też posłaniec, oczekuję w Riverhauzie i stamtąd doprowadzę na miejsce do obozu Osagów. Taki mam rozkaz. Nie radzę jednak brać do pomocy policji lub wojska, bo w takim razie nad głową branki zawisłoby straszne niebezpieczeństwo...

— Dobrze, pojadę sam — odrzekł. — Jeszcze raz spróbuję doświadczyć, jak bandyci dotrzymują słowa. Zatem do widzenia jutro w Riverhauzie.

— Do widzenia — odrzekł Hugo — a radzę nie zwlekać, gdyż Osagowie tymczasem mogą pańskich sług wraz z narzeczonym branki postawić u słupa męczarni.

Rzuciwszy tę pogróżkę, Hugo wyszedł sztywnie, skinąwszy nieledwie głową na pożegnanie. Złotopolski odetchnął ciężko, jak gdyby mu ciężki kamień przygniatający piersi zdjęto i zabrał się zaraz do napisania czeku do banku, by mu odpowiednią gotówkę dostarczono. Ukończywszy pisanie, wydał służbie polecenie spakowania rzeczy niezbędnych do podróży.

Do wieczora wszystko było gotowe, jedynie tylko trzeba było czekać na gotówkę, którą bank zobowiązał się dostarczyć dopiero na rano. Gdyby nie to, byłby stary nie czekał rana, lecz na noc wybrałby się w podróż, bo tak czy tak nie myślał udawać się na spoczynek, tak bowiem był podniecony, że zupełnie nie czuł potrzeby spoczynku, a nawet w tym stanie nie mógłby wcale zasnąć. Co odczuwał wówczs, trudno opisać. Czuł radość, że Mira żyje — miał nadzieję odzyskania jej — a równocześnie odczuwał jakąś dziwną, nieokreśloną obawę.

Już była noc późna, a on nie kładł się do łóżka, lecz chodził nerwowym krokiem po gabinecie tam i z powrotem, spoglądając co chwila na wiszący na ścianie zegar i gniewało go to, że wskazówki jego tak leniwie się posuwają. On chciał, by już był dzień — by już mógł wsiadać do powozu i ruszać w drogę — chociaż tak daleką i niebezpieczną, jednak było mu pilno.

Naraz usłyszał na dole dźwięk otwieranej bramy, poczem kroki w klatce schodowej, wreszcie głosy rozmowy w przedpokoju, poczem uchyliły się drzwi, w których ukazał się zaspany lokaj wołając:

— Pan Otwocki przyjechał!

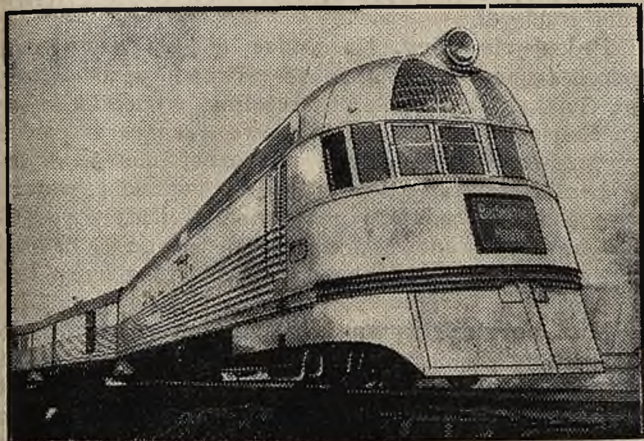
— Proś natychmiast! — zawołał stary, zrywając się z pośpiechem.

W tej chwili lokaj zniknął, a na jego miejscu ukazała się kurzem okryta postać Otwockiego, poza którą pokazał się również pokryty kurzem James Stockpolle.

— Jesteście?! — zawołał z prawdziwą radością w głosie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W walce z szybkością i czasem.



Amerykańskie towarzystwa kolejowe wprowadziły częściowo na swych linjach błyskawiczne pociągi, zbudowane według najnowszych zasad aerodynamicznych. Cały pociąg, z wyjątkiem wewnętrznego urządzenia — zbudowany jest ze stali, a szybkość jego jest ogromna.

Poradnik gospodarczy.

III. Jak założyć pasiekę?

Uwagi dla początkujących pszczelarzy.

Rodzina pszczela — rój.

Każdy ul przedstawia odrębną całość, niby jedną wielką rodzinę, a raczej odrębne państwo, w którem rządzi, jak w każdym zawodzie, jakiś zwierzchnik. Rój rządzony jest przez jedną jedyną samicę o należycie rozwiniętych narządach płciowych i tylko ona jedna zdolna jest do składania jajeczek, po uprzedniem zapłodnieniu przez samca, zwanego powszechnie trutniem.

Całe społeczeństwo pszczele posiada niejako dwa stany: płeć męską (trutnie) i płeć żeńską (robotnice) o niedorowiniętych organach płciowych, zdolne wyłącznie do pracy i życia społecznego bez zdolności płciowych i rozrodczych. Jednak stanowią one najpożyteczniejszą warstwę narodu pszczelego w ulu i są podzielone na plutony w swej żmudnej pracy dla dobra ogólnego. I tak: najmłodsze pszczoły, nie wychodzące jeszcze na pożytek, krzątają się po ulu, uczą się niejako dopiero przyszłej pracy i wygrzewają sobą młody czerw. Starsze pszczoły 2—3 mies. już inną spełniają robotę; otóż wylatują z ula, obznajmiają się z okolicą, strzegą wylotu, trzymając niejako straż i bronią ul przed rabunkiem obcych pszczół, bądź przed innemi niebezpieczeństwami.

Największa liczba jest jednak robotnic, pracujących nad gromadzeniem pożytku, a jest kilka lub kilkanaście tysięcy, zależnie od siły pnia. Średni ul posiada od 8—10 tysięcy robotnic. Najbardziej upośledzonym stanem w rodzinie pszczelej i niejako zakałą społeczeństwa, jest płeć męska (trutnie), które są tylko ciężarem dla pszczół, gdyż nie pracują, a dobrze się odżywiają, co jest wielkim uszczerbkiem dla roju, a równocześnie niesprawiedliwe w społeczeństwie pszczelem, boć występuje ich kilkaset w całym ulu. Ale przez większą część lata pszczoły cierpliwie znoszą swych darmozjadów, a to ze względu na częstą potrzebę zapłodnienia matki podczas rójki, co właśnie dokonuje się w tych miesiącach. Zresztą i pszczołom chętniej się pracuje w towarzystwie przeciwnej płci, której obecność podnieca ich do żywszej pracy, lubo bez żadnego osobistego interesu. Ale, kiedy główny pożytek zaczyna się kończyć, kiedy coraz częściej „bieda" zagląda pod dach ula, wtedy pszczoły-robotnice, ten najpożyteczniejszy stan, wypowiada otwartą walkę tym wszystkim, którzy nie pracując, chcą dobrze jeść i być ciężarem roju. Robotnice rzucają się całą gromadą na bezbronne truty (trutnie nie posiadają żądeł) i zabijają masowo, przy zastosowaniu swych żądeł. W wypadku, kiedy trutni rachować można na tysiące, wtedy jest obowiązek i samego właściciela ratować ul przed zagładą, aby nie dopuścić do zagłodzenia, bądź niedostatku, który może się tam zakraść.

Ale pszczoły, te najdoskonalsze owady, które mają tak bardzo rozwinięty zmysł społeczny i wielką inteligencję, prócz ukonstytuowania się, pracy, walk, znają również jak wszystkie narody ludzkie, chwile odpoczynku, „święta narodowe".

Świętem takiem w ulu jest wybór królowej, co połączone jest z godami weselnemi i rójką, czyli zmianą mieszkania.

Przebieg takiego święta przedstawia się mniej więcej w ten sposób: silny rój o wielkiej ilości pszczół postanawia rozdzielić się ze względu na małe mieszkanie. Jeden ul stał się już dla niego za ciasny, to też pszczoły budują t. zw. „mateczniki" czyli komórkę, w której rośnie przyszła ich królowa-matka. Po jej dojrzeniu ul cały zaczyna nabierać życia, gwaru, znać że jakieś ważne toczą się narady. Wkrótce potem wylatuje matka z ula celem zapłodnienia, co gdy nastąpi w powietrzu, wraca i dobiera sobie poddane, które się za nią opowiadają. Stara matka otacza się drugą połową swych poddanych i zmuszona jest wylecieć z ula celem znalezienia sobie innego gniazda. Młoda matka zostaje na gospodarce. Rójkę poznać można po tem, że pszczoły nie wylatują na pożytek, lecz robią ruch w ulu, następnie wylatuje ich trochę jako „wywiadowcy" celem znalezienia sobie innego mieszkania. Gdy powrócą, matka daje hasło do wylotu i wtedy zazwyczaj pierwsza wylatuje a z nią reszta roju. Wkrótce jednak osiadają gdzieś na drzewie, a to dla zorjentowania się co do ilości, zresztą są ociężałe i najedzone. Sposób ich osiadania na drzewie jest dość oryginalny, otóż zbijają się szczelnie w kształcie jakiejś masy lub brody, która wisi na gałęzi, w pośrodku zwykle znajduje się matka.

Święto to kończy się przeprowadzką do innego miejsca. Pszczelarz, u którego dokonała się rójka winien używać różnych sposobów, aby zakończenie tej „uroczystości" nie przyniosło mu straty, lecz korzyść, o czem szczegółowo potraktowane będzie w następnych rozdziałach.

Józef Mirek.

Krajowe zioła lecznicze i ich zastosowanie w chorobach ludzkich i zwierzęcych

Bluszcz pospolity (*Hedera helix*), krzew pnący się, w części pasorzytniczy. Jego gałązki wypuszczają pazurkowate korzonki, ciągnące z opanowanej rośliny część swego pożywienia, wskutek czego nawet po odcięciu głównej łodygi nie ginie. Wspina się także na skały i mury i pokrywa je swą zielonością nieraz do wysokości kilkunastu metrów. W szpary skał i murów zapuszcza korzenie z taką siłą, że je niekiedy rozsadza. Liście zawsze zielone, tęgie, grube, kwiaty blado żółte, w gronka zebrane. Owoce, w kształcie małych, czarnych jagód, dojrzewają następnej wiosny.

Liście mające smak gorzki, gotowane w wodzie, lub winie służą do okładów na wrzody i oparzenia. — Świeże, w tęgim occie moczone i kilka razy dziennie na nagniotki przykładane, mają je całkowicie usuwać. W cieplejszych krajach wypływa z bluszczu żywica, mająca własności roztwarzające, skuteczne w zaflegmieniach.

Dr med. *Stanisław Breyer*. Kraków, Piłsudskiego 36.

KRONIKA.

Śmierć na dachu pociągu. W ubiegłą niedzielę wieczorem na dachu pociągu zdążającego od strony Kalwarji w stronę Krakowa, jechał bez biletu 27-letni Stefan Wiktorowicz, pochodzący z Centkowska, pow. Opoczno. W pewnym momencie, gdy pociąg wjeżdżał pod wiadukt koło Borku Fałęckiego, Wiktorowicz uderzył głową o most i poniósł śmierć na miejscu.

Pożary. W Dobrocieszu pow. Brzesko, od porzuconego niedopałka papierosa zapalił się i spłonął doszczętnie dom mieszkalny ze stajnią i szopą oraz narzędziami rolniczemi i sprzętami. — W Wielkiej Wsi, powiat Brzesko, z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, powstał pożar, który zniszczył stodołę, dwie szopy, chlew i stajnię, oraz inwentarz martwy. Ogień zlokalizowało pięć okolicznych straży pożarnych. — W Skomielnie Białej, powiat Myślenice, spalił się dom mieszkalny i stodoła, przyczem uległo poparzeniu kilka osób. — 14 bm. wybuchł pożar w fabryce skór „Siła“ w Zabłociu ad Żywiec. Pastwą płomieni padło całe urządzenie ślusarni oraz magazyn ze skórami nadto częściowo willa mieszcząca biura i mieszkania prywatne. Szkoda wynosi około 600.000 zł. Pożar powstał najprawdopodobniej wskutek krótkiego spięcia przewodów elektrycznych. — W Krasnem Potockiem, pow. Nowy Sącz, zapalił się od pioruna dom mieszkalny J. Rzeszowskiego. Dom spłonął doszczętnie wraz z całem urządzeniem. Szkoda wynosi około 5.000 zł. Od uderzenia pioruna został zabity syn poszkodowanego E. Rzeszowski, stojący pod domem, zaś drugi syn Jan został porażony tak silnie, że dopiero po upływie dwóch godzin zdołano go przywrócić do przytomności. — W zabudowaniach gospodarczych W. Opydy w Woli Piskulinie, pow. Nowy Sącz, wybuchł pożar. Prócz domostwa spaliło się kilkanaście sztuk inwentarza żywego, t. j. buhaj, jałówka i 22 sztuki drobiu. Szkoda wyrządzona przez pożar wynosi około 5.000 zł. W czasie akcji ratunkowej została dotkliwie poparzona Marja Opyda, żona poszkodowanego. Pożar powstał prawdopodobnie wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

Krwawy napad rabunkowy. Pięciu zamaskowanych bandytów wtargnęło do domu Süssmana w Kuryłówce koło Rzeszowa i steroryzowawszy rodzinę właściciela, zaczęli plądrować mieszkanie. W czasie plądrowania powrócił z bożnicy Süssman, a zorjentowawszy się, że w domu jego znajdują się bandyci, wszczął alarm. Bandyta, stojący na straży przed domem, strzelił do Süssmana, kładąc go trupem na miejscu. Bandyci zbiegli, ostrzeliwując się gęsto pogoni, którą zorganizował zaalarmowany posterunek policji. Z mieszkania Süssmanów napastnicy zabrali 500 zł., 10 dolarów i różne cenne przedmioty. Zachodzi prawdopodobieństwo, że pomiędzy rabusiami znajdowali się osławieni bandyci Byk i Maczuga, którzy zorganizowali nową szajkę.

Wędka narzędziem złodzieja. W Sygniówce Małej koło Lwowa nieznany sprawca skradł przez otwarte okratowane okno za pomocą wędki garderobę męską i damską na szkodę Izaka Wachsa, dzierżawcy folwarku, na ogólną szkodę około 1.000 zł. Wędkę złodziej zarzucał do pokoju a zaczepiwszy na haczyk jakąś część ubrania wyciągał.

Pęknięcie góry. Na drodze między Nadwórną a Bohorodczanami w miejscowości Hwozd, pękła wysoka góra. Góra się rozdwoiła, a szczeliny wypełniła w dużych ilościach jakaś ciecz. Drzewa rosnące w pobliżu góry przewróciły się. Wśród okolicznej ludności wybuchła panika, rozeszły się wieści, że wybuchł wulkan. Prawdopodobnie jednak góra zawiera pokłady ropy, której wybuch spowodował rozpadnięcie się góry. Ze Lwowa wyjechali uczeni celem zbadania przyczyny tego wybuchu.

Mąż porzucił żywą żonę na cmentarzu. Policjant gminny Słabicki w Czyszkach pow. zborowskiego, przechodząc przez tamtejszy cmentarz, zauważył jakąś leżącą postać. Była to chora kobieta, którą przewieziono natychmiast na posterunek policyjny, a następnie do szpitala do Lwowa. Była to żona włościanina Szozdy. Mąż przypuszczając, że żona zachorowała na tyfus, wywiózł ją nieprzytomną w nocy na cmentarz i tam porzucił. W szpitalu nad chorą roztoczono obserwację, czy Szozdowa jest chora rzeczywiście na tyfus.

Napad na księdza. W czasie nauki religji we wsi Kupczyńce napadło około 80 Ukraińców na proboszcza z Horodyszczy, ks. Szafranka, którego pobito, a salę szkolną zdemolowano. Aresztowanych prowodyrów przewieziono do więzienia w Tarnopolu.

Nie brak jeszcze ludzi zabobonnych. Nieprawdopodobny fakt ciemnoty i zabobonu wydarzył się onegdaj w czortkowskim powiecie. Oto w nocy nieznani sprawcy wydobyli z grobu zwłoki niejakiego Hrynia Wynyka z Zabłotówki, który jeszcze dnia 15 października ubiegłego roku popełnił samobójstwo i pochowany został na cmentarzu w Zabłotówce, poczem trumnę ze zwłokami wrzucili do rzeki Seretu. Na drugi dzień trumnę znaleziono w sąsiedniej wiosce Kapuścińce, lecz już bez zwłok, gdyż uniosła je woda. Motywem tego czynu był zabobon, wedle którego w okolicy, w której jest pochowany wisielec, nie będzie przez siedm lat deszczu, a nadto całą okolicę nawiedzą jeszcze inne klęski żywiołowe.

Przy tej sposobności warto przypomnieć inny fakt, który miał miejsce również w powiecie czortkowskim. W lecie zeszłego roku na cmentarzu w Uhryniu został odkopany grób, a zwłoki wydobyte i następnie z powrotem pochowane. Okazało się po dochodzeniach, że znani złodzieje tamtejsi: Bega, Szuszka i Dutka wytopili tłuszcz ze zwłok, którym się następnie wysmarowali, chcąc sobie w ten sposób zapewnić powodzenie w wyprawach złodziejskich. A według tradycyjnych wierzeń rabusiów tłuszcz samobójcy zapewnia powodzenie w wyprawach złodziejskich.

Zemsta eksmitowanego. We wsi Zagorów, pow. olkuskiego, wybuchł ładunek dynamitu, podłożony pod dom Józefa Gabrysia. Wybuch zniszczył okna, drzwi i część dachu. Na szczęście domownicy nie byli w mieszkaniu, toteż nikt z ludzi szkody nie odniósł. Dom był

sprzedany niedawno na licytacji a właściciel Jan Kwapień został eksmitowany wraz z rodziną. Istnieje podejrzenie, że dom chciano wysadzić w powietrze z zemsty.

Wyrzuty sumienia ojcobójcy. Kaliski sąd okr. rozpatrywał sprawę małżonków Włodarczyków, mieszkańców wsi Łaszew w pow. wieluńskim, oskarżonych o to, że w roku ubiegłym dopuścili się podstępnego otrucia ojca, będącego na ich utrzymaniu. Na rozprawie okazało się, że J. Włodarczyk chcąc się pozbyć niewygodnego mu ojca, w porozumieniu ze swą żoną Władysławą dolewał mu do potraw mniejsze ilości trucizny, wskutek czego po kilku tygodniach staruszek zmarł. Popełniona zbrodnia nie wyszłaby na jaw, gdyby nie częste kłótnie między Włodarczykami. Po pewnej bójce, Włodarczykowa dotkliwie pobita przez męża, chcąc się zemścić, poszła na policję i doniosła o popełnionej zbrodni. Przeprowadzona sekcja zwłok stwierdziła, że istotnie staruszka otruto. Sąd skazał Józefa Włodarczyka na dożywotnie więzienie, a żonę jego Władysławę na 15 lat więzienia. Włodarczyk osadzony w więzieniu powiesił się na pasku od spodni.

Perłowe pola. We wsi Kłomnice, pow. sieradzkiego, wydarzył się zabawny wypadek. Gospodarz tamtejszy, niejaki Krupa, rozsiewał od trzech lat pogłoski, że na jego polach, leżących nad rzeką Wartą, znajdują się perły w muszlach' Naiwnych nie brakowało i gromadami co roku chodzili oni za pewną opłatą po polach, szukając skarbów. W roku bieżącym interes szedł również doskonale, lecz niestety, Krupa przypadkowo wygadał się po pijanemu. Zawiedzeni włościanie Krupę bardzo silnie pobili a pola perłowe zdyskredytowano.

Straszna zbrodnia zawiedzionej kobiety. W Łodzi przy ulicy Abramowskiej w ubiegły piątek rozegrał się straszny dramat w domu majstra fabrycznego Gębalskiego. Jako wdowiec z dwojgiem dzieci Gębalski miał gospodynię niejaką Ciecierkiewiczową, z którą utrzymywał bliższe stosunki. Gdy Ciecierkiewiczowa dowiedziała się, że Gębalski ma się żenić, postanowiła się zemścić i podczas snu oblała Gębalskiego, jego 15 letniego syna i 12 letnią córkę kwasem solnym. Stan Gębalskiego jest beznadziejny, zaś obojga dzieci ciężki. Ciecierkiewiczową aresztowano i przewieziono do więzienia. W drodze jednak zbrodniarka zmyliwszy czujność eskorty momentalnym ruchem wydobyła drugą butelkę z kwasem solnym i wypiła całą jej zawartość. W stanie również beznadziejnym odwieziono ją do szpitala.

Ofiary Wisły. Z powodu panujących upałów ludność wylega nad rzeki celem użycia kąpieli. Wielu jednak zapomina o niebezpieczeństwie zbytniego oddalenia się od brzegu rzeki, nie znając dna rzeki, które szczególnie wartko płynąca woda wymula, robiąc różne doły. Ofiarą swej lekkomyślności padło onegdaj w Warszawie w jednym dniu tylko 7 ludzi, których pogrążyły tonie Wisły. Mimo poszukiwań ani jednych zwłok topielców nie udało się wydobyć. Nad kąpiącymi roztoczono baczniejszą uwagę, karząc grzywnami za kąpiel w miejscach niedozwolonych.

Spóźniony list. 29 kwietnia br. bezrobotny urzędnik, Jan Robertson w Warszawie, z powodu braku środków na utrzymanie popełnił samobójstwo, zażywając truciznę, a 1 maja zmarł. Tymczasem 11 maja br. woźny magistratu przyniósł śp. Robertsonowi pismo z sekretarjatu prezydjalnego Zarządu miejskiego Warszawy z datą 24 kwietnia br., polecające biuru personalnemu bezzwłocznego nadania mu posady, o którą zmarły urzędnik wniósł swego czasu prośbę. Niestety biedak się już na to pismo nie doczekał.

Fałszywe monety w mydle. W Warszawie wykryto potajemną fabrykę fałszywych monet 2, 5 i 10-złotowych. Fabryczka mieściła się w mieszkaniu szefa bandy Abrama Bekermana, którego zastano przy pakowaniu fałszywych monet. Fałszywe monety wysyłano na prowincję w mydle. W czasie rewizji wykryto kompletnie urządzoną maszynę do wyrobu fałszywych monet. Jednocześnie z szefem szajki aresztowano pozostałych członków bandy i kolporterów, razem 15 osób. Są to przeważnie żydzi. Dokonano również wielu aresztowań na prowincji dokąd Bekerman dostarczał fałszywe monety w mydle przez pocztę.

Może nie unikną kary śmierci. Przed kilkunastu dniami P. Prezydent Rzeczypospltej ułaskawił dwóch bandytów Bidzińskiego i Raczkiewicza, którzy wyrokiem sądu skazani zostali na karę śmierci. Kara ta została im zamienioną na dożywotnie więzienie. Obecnie wyszło na jaw, że bandyci ci dokonali szeregu krwawych zbrodni i mordów, które nie były objęte poprzednim procesem. Rozpoczęto więc śledztwo i bandyci owi zasiądą jeszcze raz na ławie oskarżonych. Wyrok jaki zapadnie jest wiadomy, czy tylko P. Prezydent po drugi raz ich ułaskawi.

Wykopany skarb. Rolnik ze wsi Ruta, w powiecie drohiczyńskim, Paweł Adamowicz, wyorał na swojem polu dzbanek gliniany, w którym znajdowało się 425 sztuk starych srebrnych monet polskich. Monety te wraz z naczyniem przekazano do starostwa w Drohiczynie.

Samochód najechał na oddział wojska. Na przedmieściu w Równem szofer Frajmann, prowadzący samochód ciężarowy, najechał na przechodzący ulicą oddział wojska. Czterech żołnierzy doznało ciężkich obrażeń ciała a kilkunastu lżejszych.

Tragiczny spór. W Miłosławiu, pow. Międzychód, doszło do sprzeczki pomiędzy Władysławem Peltze i Fr. Bieniakiem, liczącym 74 lat, oraz jego synami Janem i Stanisławem. Peltz zwlekał ze spłatą 2.000 zł. Bieniakom za kupno gospodarstwa. Gdy Bieniakowie przyszli upomnieć się o pieniądze, Peltz zastrzelił wszystkich, poczem oddał się w ręce policji.

Otruci kiszkami. W miasteczku Żytowies w powiecie gostyńskim zachorowała rodzina Ziemlińskich po spożyciu kiszki pasztetowej, tak zwanej tam „wątrobianki". Matka oraz 22 letni syn zmarli wkrótce, ojciec walczy ze śmiercią. Władze aresztowały właściciela sklepu rzeźnickiego, A. Zakrzewskiego i jego syna, u którego wędlina była nabyta.

Prosięta za darmo. Pewien rolnik z powiatu tucholskiego na Pomorzu, przywiózł na targ sześć prosiąt. lecz wobec licznego dowozu brakło nabywców, którzyby choć za minimalną cenę towar nabyć. Rolnik oddaliwszy się na chwilę od wozu, zdziwił się niemało kiedy powróciwszy do wozu zauważył, iż ktoś dołożył mu jeszcze dwoje prosiąt. Otóż jeden z rolników, nie mogąc ostatnich prosiąt sprzedać, a nie chcąc zabierać ich z powrotem, poprostu włożył je do obok stojącego wozu, jako towar dla niego bezwartościowy.

Wilk na przedmieściach Wilna. Na przedmieściu Wilna ukazał się duży wilk, który wpadł do jednego z okolicznych ogrodów, gdzie porwał kurę, usiłując wraz ze zdobyczą uciec w pole. Obecni przy wypadku domownicy zamknęli jednak szybko wrota i uzbroiwszy się w kije, zaatakowali wilka, którego po dłuższej walce zamknięto w klatce a następnie odesłano do ogrodu zoologicznego.

Śmierć dwojga dzieci w płomieniach. We wsi Ościewicach, położonej o dwa kilometry od Dzisny na Wileńszczyźnie wybuchł wielki pożar. Na wiadomość o pożarze wysłano natychmiast straże pożarne z Głębokiego. Spłonęło doszczętnie 8 gospodarstw. W płomieniach

znalazło śmierć dwoje dzieci. Pożar wznieciła 13-letnia dziewczynka przez nieostrożne obchodzenie się z ogniem.

Mimo 122 lat pracuje na roli. Najstarszym człowiekiem w Besarabji jest Konstanty Orbu, liczący 122 lata, zamieszkały w gminie Pogorniczany koło Orgiejewa. Starzec ten pomimo tak podeszłego wieku cieszy się doskonałem zdrowiem, pracując z prawnukami na roli. W Burgenlandzie austrjackim w osadzie Jabing obchodzi 110 tą rocznicę swoich urodzin rolnik i kołodziej Franciszek Baldasti, który jest najstarszym obywatelem Austrji. W uroczystościach, mających się odbyć dla uświetnienia obchodu urodzin Baldasti, wezmą udział wszystkie wnuki i dzieci Matuzalema w liczbie 118 tu.

Ukarana brutalność męża. Pewna kobieta w kolektórze loteryjnej liczbowej w Wiedniu postawiła 28 szylingów na numery 1, 25, 37. Numery te rzeczywiście wyszły w czasie ciągnienia tak, że kobiecie owej należałoby się 10.800 szylingów. Do wypłacenia tej sumy jednak nie doszło z powodu niezwykłych okoliczności. W jakiś czas po uiszczeniu owych 28 szylingów przez ową kobietę, zjawił się w kolekturze jej mąż, właściciel małej restauracyjki, który zażądał zwrotu tych pieniędzy, oświadczając, że żona jego jest niepoczytalna, a ponadto zabrała samowolnie tę kwotę przeznaczoną na czynsz za mieszkanie. Gdy mu odmówiono w kolekturze, nie dał za wygraną, lecz udał się do centrali loteryjnej, zrobił tam piekielną awanturę i wreszcie rzeczywiście uzyskał zwrot stawki. Jakaż rozpacz ogarnęła brutala, gdy w kilka dni potem wyczytał w gazetach, że wszystkie trzy numery wyszły, przynosząc jako wygraną 16.800 szylingów. Żona zaś jego tak się przejęła tym faktem, że opuściła wspólne mieszkanie i zamieszkała u swojej siostry.

Katastrofy kolejowe w Niemczech. W ubiegły czwartek koło Karlsruhe na dworcu Fortheim w Niemczech wjechała lokomotywa na pociąg osobowy, przyczem cztery wagony pociągu osobowego zostały zniszczone. W katastrofie straciło życie czterech podróżnych a 10 odniosło ciężkie rany. — Koło stacji kolejowej w Pforzheim w Badenji manewrujący parowóz wpadł z flanki na wjeżdżający pociąg osobowy. Trzy wagony pociągu osobowego zostały zupełnie strzaskane, a kilka innych uległo uszkodzeniu. Z pod szczątków wydobyto 5 zabitych i 9 ciężko rannych.

Katastrofa balonu niemieckiego. W ubiegłą niedzielę z lotniska Hitterfeld w Saksonji wzniósł się do stratosfery balon niemiecki. Do lotu tego użyto największego balonu w Niemczech o pojemności 9.500 metrów sześciennych. W balonie znajdowały się dwie osoby: inż. Schrenk z Berlina i obserwator Masuch. Po wzniesieniu się balonu w górę zaczęto się obawiać, gdyż lotnicy nie dawali znaku o sobie pomimo że zabrali ze sobą wszystkie potrzebne aparaty. Obawy okazały się słuszne, bowiem balon porwany wiatrem zapędzony został aż na granicę łotewsko rosyjską w pobliżu Dynaburga. — W gondoli znaleziono zwłoki obserwatora, zaś o 15 kilometrów od miejsca w którym balon opadł znaleziono zwłoki inż. Schrenka. Co było przyczyną śmierci obu lotników nie wiadomo.

41 ofiar wybuchu gazów w kopalni. W kopalni węgla w Paturages koło Mons w Belgji nastąpił wybuch gazów na głębokości 805 metrów pod ziemią w korytarzu, w którym pracowało 56 górników. Pięciu wydobyto ze strasznemi oparzeniami. Reszta nie odpowiadała na sygnały ratujących. Dopiero w nocy stwierdzono, że 41 górników zostało zabitych na miejscu. Mimo, iż w kopalni zatrudnionych jest wielu Polaków, wśród zabitych i rannych niema ani jednego emigranta polskiego. Ciała zabitych górników po pewnym czasie wydobyto na powierzchnię. Wkrótce potem w szybie wybuchł pożar, tak, że zaszła konieczność zamurowania całego szybu. Przed kopalnią zgromadził się tłum krewnych zabitych górników, z pośród których dochodziły przerażające sceny rozpaczy.

Rozbitkowie „Czeluskina“ wracają. Statek „Smoleńsk“ zabrał z zatoki Opatrzności 77 rozbitków z „Czeluskina“ i wyruszył po pozostałych 28 do Zatoki św. Wawrzyńca, dokąd zamierza dotrzeć w poniedziałek. Z przewiezienia osób samolotem zrezygnowano z powodu niepomyślnego stanu pogody. Łamacz lodów „Krasin“ oczekiwany jest w Zatoce Opatrzności w ciągu najbliższych kilku dni.

Prezydent policji wspólnikiem bandyty. W Chicago aresztowano prezydenta policji Mac Laflena, którego władze oskarżają o współdziałanie z bandytą Dilingerem. W mieszkaniu jego w czasie rewizji znaleziono dużo materjału kompromitującego. Z dokumentów tam znalezionych wynika, że prezydent Laflen otrzymał od Dilingera 50.000 dolarów jako łapówkę. Nic dziwnego, że bandyci otrzymywali dobre informacje o pościgu. Laflen miał zaopatrywać bandytów w policyjne karabiny maszynowe Nieuchwytny dotąd bandyta Dilinger jest jednym z największych bandytów Ameryki. Podobno obecnie znajduje się na jednym z okrętów zdążających do Europy. Wysłano depeszę, aby przed wylądowaniem został pochwycony.

Ocalone ofiary bandytów amerykańskich. Uprowadzona 6 letnia córka bogatego hodowcy bydła w stanie Arizona w Ameryce, June Robbles została obecnie wydana rodzinie. Dotychczas nie zdołano ustalić, czy złożono za nią żądany okup. W liście wystosowanym do gubernatora stanu Arizona, przypuszczalnie przez samych bandytów, oznaczone zostało dokładnie miejsce ukrycia ofiary. Udano się na wskazane miejsce w pobliżu miasta Tucson i tam na odludziu w grocie 2 metry długiej 85 cm. szerokiej i metr głębokiej znaleziono dziewczynkę w stanie zupełnego wyczerpania ze związanemi nogami. Obok ofiary stał dzbanek z wodą, kilka kawałków zeschłego chleba i kilka pomarańcz. Dziecko było strasznie zaniedbane, grota zanieczyszczona i pełna robactwa. Oddano je opiece lekarskiej.

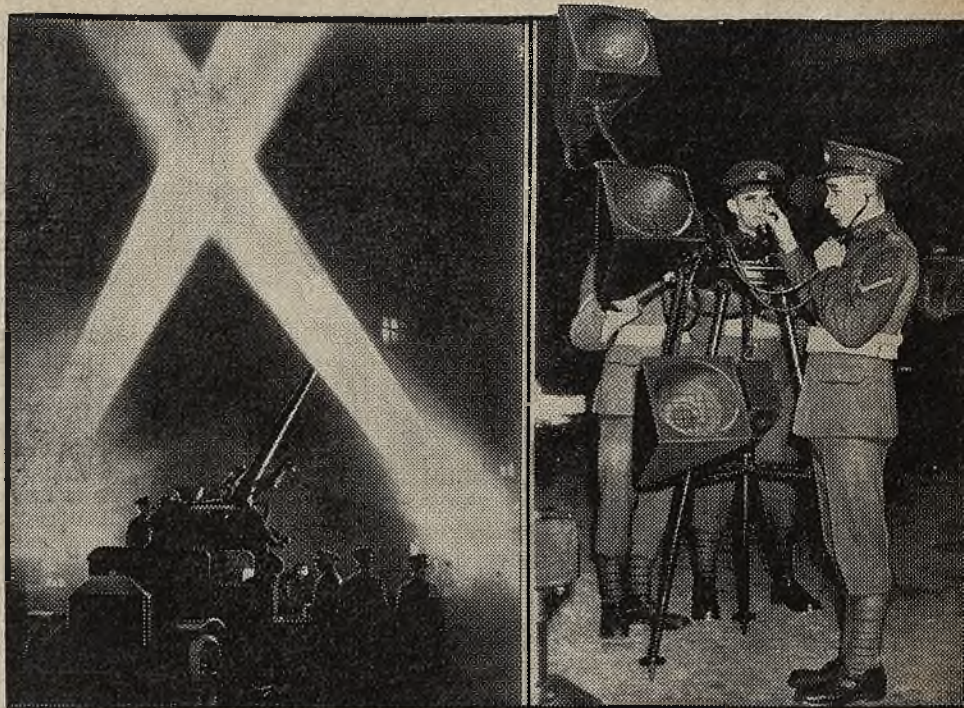
Wedle doniesień z Los Angeles, policji amerykańskiej udało się uwolnić uprowadzonego magnata naftowego Gettlea, niedawno uprowadzonego przez bandytów. Przypadkowo zaskoczył agent policyjny pewnego osobnika w chwili gdy telefonował do rodziny uprowadzonego, umawiając się co do wysokości okupu. Policja idąc za owym osobnikiem dotarła do pewnego domu położonego za miastem Los Angeles, gdzie zastała uprowadzonego miljonera i dwóch osobników. Jednego z bandytów udało się policji ująć, drugi natomiast zbiegł.

Słoń zabił fotografa. Kapitan marynarki angielskiej Crookshawk wybrał się niedawno do Afryki wschodniej w celu fotografowania dzikich zwierząt w ich naturalnem otoczeniu. W tych dniach, jak z Nairobi donoszą gazety angielskie, przelatując samolotem z Kilosy do Moszt, kapitan spostrzegł stado słoni. Powrócił w to miejsce samochodem i dokonał kilku bardzo udatnych zdjęć z pasącego zię stada słoni. Podszedł jednak przy tem tak blisko do słoni, że jeden z nich zwęszył go, odwrócił się i pobiegł ku lekceważącemu niebezpieczeństwo fotografowi. Po chwili słoń pochwycił trąbą kapitana i uderzył nim z taką siłą o ziemię, że zabił go, zanim towarzysze nieszczęśliwego nadążyli mu z pomocą. Rozjuszony słoń padł natychmiast obok swej ofiary, rażony kulami towarzysza kapitana. Kapitan Crookshawk szczycił się tem, że podczas całej swej wyprawy nie zabił ani jednego ze zwierząt, które fotografował.

Rzeczy ciekawe.

Nocne manewry lotnicze nad Londynem.

Wiadomo, że państwa prowadzące wojnę, prowadzą ją nietylko we dnie, ale też i w nocy. Noc właśnie nadaje się do prowadzenia wojny w powietrzu, szczególnie do ataków lotniczych celem rzucania bomb gazowych. Przy pomocy wynalazków starają się państwa takie ataki lotnicze nocne utrudnić. — Nad Londynem odbyły się ćwiczenia napadu i odparcia ataku lotniczego. Po lewej stronie: Potężne reflektory oświetlają nieboskłon dla armat przeciwlotniczych. Po prawej stronie: Aparaty podsłuchowe ustalają zbliżenie się nieprzyjacielskiej floty powietrznej w celach atakowania.



Fantastyczny projekt ogrzania Syberji.

Olbrzymie obszary północnej Azji, gdzie nawet w czasie t. zw. lata temperatura podnosi się zaledwie do 30 stopni zimna, są wskutek tego niejako poza nawiasem wszelkich możliwości cywilizacyjnych, co dla rządu rosyjskiego podobno jest w tej chwili przedmiotem szczególnego zmartwienia. Gdyby tam bowiem można stworzyć odpowiednie warunki dla kolonizacji, bezmierne te obszary stałyby się źródłem niezwykle lukratywnej eksploatacji, a tem samem bogactwa. Tymczasem pokrywają je wieczne lody i śniegi, a mieszkańcami tych pustkowi są tylko biały niedźwiedź, lis i charakterystyczne ptactwo polarne.

W związku z tem wystąpił obecnie rosyjski inżynier Awdojew z pomysłem „ogrzania" Syberji i przemienienia jej w kraj dostępny dla człowieka, który tam mógłby się osiedlić i rozpocząć normalną pracę na roli, która niewątpliwie jest bardzo urodzajna. Rozumuje on przytem w następujący sposób:

Znaczne obszary dzisiaj całkowicie nieużytecznej Syberji leżą mianowicie na tym samym stopniu szerokości geograficznej, co np. norweskie okolice tak ruchliwych miast, jak Tromso lub Hammerfest, gdzie istnieje żywa wegetacja, a to dzięki temu, że obszary te ogrzewa płynący z Ameryki prąd, ogrzewający całe zachodnie wybrzeże Europy aż do jego najbardziej północnych kończyn, a oddziaływane dodatnio w całej Norwegji i w Finlandji. Prąd ten nie może jednak przedrzeć się ku wybrzeżom Syberji, gdyż zamyka mu drogę wieczysty wał lodu i zimnych prądów, idących z morza Karyjskiego. Gdyby przeto wedle pomysłu zresztą bynajmniej nie nowego, wspomnianego imć Awdojewa, odpowiednio zbudowaną tamą zamknąć morze Karyjskie między południowym cyplem wysp Nowej Ziemi, a wyspą Waigacz, następnie zaś jej południowym cyplem a stałym lądem Azji, możnaby tym sposobem zmienić kierunek prądu w tych okolicach i umożliwić mu jego dobroczynne działanie na całe wybrzeże Syberji. Trudność nie jest nie do przezwyciężenia, gdyż chodzi zaledwie o tamę na przestrzeni 56 kilometrów, co w każdym razie opłaciłoby się, gdyż dzięki temu możnaby skorygować klimatyczne warunki olbrzymiego obszaru przeszło 1,000.000 km. kw., zdobywając te olbrzymie tereny dla cywilizacji.

Awdojew powołuje się pod tym względem na znanego badacza krajów podbiegunowych Knuda Rasmussena, z którym niejednokrotnie w tych sprawach konferował, a który plan ten uważał za całkowicie realny.

Wyciąg z cebuli leczy cukrzycę.

Wprowadzenie do lecznictwa insuliny, czynnika zawartego w trzustce zwierzęcej sprawiło, że chorzy na cukrzycę, którzy do niedawna jeszcze byli nieodwołalnie skazani na śmierć przedwczesną, żyją i pracują długie lata. Jednakowoż insulina działa jedynie wtedy, gdy jest zastrzyknięta pod skórę, co bywa z wielu względów niedogodne. Obecnie badania szeregu uczonych idą w kierunku wykrycia środków, obniżających wartość cukru we krwi przy stosowaniu doustnem. Ostatnio stwierdzono, że działanie takie posiada wyciąg ze zwykłej cebuli.

Przeprowadzone na zwierzętach doświadczenie wykazały wydatny wpływ niewielkich nawet dawek wspomnianego wyciągu na gospodarkę cukrową i wogóle węglowodanową organizmu. Być może, że mamy tu rzeczywiście nowy skuteczny środek przeciw cukrzycy.

Doświadczenia prowadzone są w dalszym ciągu.

Zmysł orjentacyjny ćmy.

Ciekawe badanie nad życiem ciem nocnych przeprowadził Frank Morton Jones, entomolog z Ameryki. Obserwacyj swych na temi owadami łuskoskrzydłemi dokonał uczony na Florydzie. Zainteresował go przedewszystkiem fakt, że każda ćma, śpiąca zwykle w dzień w ukryciu pod listkami drzew i roślin łąkowych, obiera sobie miejsce spoczynku nie zwracając

uwagi na swe towarzyszki. Mister Jones zauważył również, że ćma żebrowata posiadająca biało-czarny, prążkowany rysunek skrzydeł jest niezmiernie towarzyska — sypia wraz z całą gromadą, uszeregowaną na gałązkach jednego krzewu. Następnie entomolog dokonał jeszcze ciekawszego doświadczenia; naznaczył on kolorową farbą ćmy śpiące koło siebie i na drugi dzień stwierdził ze zdumieniem, że nietylko powróciły one na swoje miejsca spoczynku, ale i każda z poszczególnych ćmów zajęła ściśle ten sam punkt na listku lub gałązce, gdzie spała dnia poprzedniego. — Fakt ten świadczy o szczególnym, dotąd niewytłumaczonym, a niezmiernie drobiazgowym zmyśle orjentacyjnym ciem nocnych.

Legenda o pochodzeniu tytoniu.

Benjamin Franklin, słynny amerykański mąż stanu, zapisał piękną legendą indyjską o pochodzeniu tytoniu:

„Pewien misjonarz szwedzki, oddany swej pracy apostolskiej, zgromadził raz wodzów indyjskich szczepu Susquehannah i począł im wykładać przypowieści Starego Testamentu. Gdy skończył naukę o grzechu pierworodnym, najstarszy z wojowników plemienia gorąco mu podziękował.

To, coś nam opowiedział, naprawdę jest piękne. Dziękujemy ci z serca, żeś z tak daleka przybył tu do nas, by opowiadać nam bajki, których cię nauczyła matka. I my zkolei chcemy ci powtórzyć, cośmy od naszych matek słyszeli. Dawno, bardzo już dawno temu, mieliśmy do jedzenia tylko zwierzynę, jaką udało się nam schwytać. — Gdy jej nie stało — cierpieliśmy głód.

Razu jednego dwaj nasi myśliwi upolowali jelenia. Kiedy już go zaczęli piec na ognisku, ujrzeli postać młodej kobiety, schodzącej z chmur, która spokojnie przysiadła na pobliskim pagórku.

Rzekł jeden do drugiego: „to duch — najpewniej przywabił go zapach pieczeni — dajmy mu pojeść". I dali jej język jelenia. Smakował jej i zjadła. Poczem mówiła do nich: za uczynność waszą i dobroć należy się wam nagroda; by ją odebrać — wróćcie na to miejsce, kiedy się księżyc trzynaście razy odmieni.

Gdy przyszli, jak kazała, ujrzeli na pagórku trzy rośliny: na miejscu, które prawa ręka jej dotknęła, kwitnął krzak chmielu, gdzie spoczywała lewa — łęty fasoli, a gdzie siedziała na wzgórku — rósł tytoń.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Józef Zięba** w N.: Motyw oznacza wszelką myśl i wszelkie uczucie, które nas pobudza do czynów. Gdy np. ktoś uderza człowieka, to doznał z jego strony krzywdy, wtedy myśl o tej krzywdzie oraz uczucie oburzenia wskutek doznania krzywdy są motywem, który pobudza skrzywdzonego do uderzenia. Pręgierz oznacza słup wbity na publicznem miejscu, zwykle u wejścia do ratusza lub do kościoła, do którego przykuwano złoczyńców przed ukaraniem ich, dla okazania ich ludowi, napiętnowania ich i odstraszenia innych, by nie popełniali zbrodni. Oprócz tego za pewne występki, n. p. za kradzież zboża w polu był pręgierz i przykucie doń samoistną karą. W miastach polskich, w których, jak wiadomo, rządzono się prawem niemieckiem, był pręgierz często stosowaną karą. **Mieczysław Banaś** w K.: Według tego, co Pan nam napisał, to ma Pan słuszność i sprawę wygraną w sądzie, ale chcąc jakiś sąd wydać, trzeba też i drugą stronę wysłuchać, a dopiero wtedy możnaby nabrać jakiegoś wyobrażenia o całym sporze. **Mikołaj Tabański** w L.: Na drugie półrocze mamy również bardzo piękne powieści. Za życzenia i przysługę bardzo dziękujemy. **Leon Nosek** w K.: Do końca roku brak na prenumeratę jeszcze 4 zł. 50 gr. — **Helena Latawcówna** w K.: Obydwa nadesłane wiersze mają pewne usterki. **Stały czytelnik „Roli":** Walutę złotową wprowadzono w maju 1924, zaś od 1 lipca 1934 wszedł złoty polski urzędowo w obieg w Polsce.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Staniek z M. K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Strefa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zgubić się.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jarzyna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Były władca Egiptu
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sklep swego rodzaju
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Stworzenie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w kościele
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część ubrania.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Mieszkanie drobiu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Owoc południowy.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńsk. rosyjsk.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polskie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w starożytn.

Litery zamiast czarnych kratek, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znane każdemu Polakowi.

2. Szarady.

(Ułożył St. Pawłasek z St.).

I.

Pierwsze zawsze bardzo parzy,
Drugie do milczenia wzywa,
Trzecie dwie litery zdarzy,
Całość polskie miasto skrywa.

II.

(Ułożył Piotr Nowak z K. W.).

Poszła Marysia do pierwszych drugich zbie-
[rać pierwsze drugie trzecie,
A tak była zamyśloną, że nie wiedziała
[o świecie.
Więc trafiła na przeszkodę, co się czasem
[trafia przecie,
Wpadła w drugi — i niechcący stłukła mo-
[cno pierwsze trzecie,
A że pierwsze drugie trzecie to rzecz, któ-
[ra rośnie przecie,
Co Marysia miała zbierać to pewnie wiecie.

3. Łamigłówka.

(Ułożył Stefan Kulis z Dz.).

.o.-a .o.a .ęź. .o.o.. a.e
.,a ...y. .o .ie..i

W miejsce kropek wstawić litery tak, aby utworzyć przysłowie.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Nowak z K. W.).

Imię męskie wspak.
Budynek gospod. wsp.
Pieniądz.
Lęk.
Żyjątko morskie.

Wyrazy w powyższym kwadracie czyta się poziomo i pionowo.

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Franciszek Bieniek z Ż.).

G. BRAZAR

Z liter ułożyć zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 czerwca b. r.

Znaczenie zagadek z Nr. 20 „Roli": 1. Logogryf: Władysław Orkan. 2. Zagadka: Warta. 3. Łamigłówka: I. Mądrej głowie dość na słowie. II. Kto ma ręce do pracy, ten się naje kołaczy. 4. Układanki: I. Korab, II. Osika, III. Koryto, IV. Warta. V. Samowar, VI. Stolica, VII. Żarty. 5. Bilety wizytowe: Drwal, maszynista, rządca.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Mieczysław Szeliga z B., Karol Głowacki z P., Jan Gofroń z J., Józef Pliszka z W., i Romka Serafinówna z K.

Nagrody otrzymali pp.: Karol Głowacki z P. i Romka Serafinówna z K.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk. Odbito w drukarni „Czasu" w Krakowie.

Wegetarjanin.

— Pan jest jaroszem?

— Tak, jadam tylko ziemniaki.

— Jak można żyć tylko ziemniakami?

— Doskonale. Ziemniaki daję do zjedzenia wieprzkowi, a później zjadam wieprzka...



Złośliwości.

Największem strapieniem skąpca jest: że nie może być własnym swym spadkobiercą.

Jeżeli od zderzenia głowy z książką powstaje pusty dźwięk, to czy to jest skutkiem tego, że książka jest pusta?

Kobiety lubią wojnę (w domu), ale jeszcze bardziej wojskowych poza domem.

Los przemawia częstokroć do człowieka jak bandyta: jeśli nie uczynisz tego „dobrowolnie“, to ja cię zmuszę.

Miłość zaczyna się na łące, a kończy się na rozłące.

Różnica.

— Małżeństwo jest loterją...

— Nonsens. Na loterji można czasem jednak coś wygrać...

Giełda płodów rolniczych

z dnia 22 maja b. r.

Pszenica	19·50—19·75	Słoma długa	3·20—3·50
Żyto	13·15—13·25	Ziemniaki stoł.	3·80—4·00
Owies	13·25—13·50	Koniczyna nasienn. czer.	210·00—235·00
Jęczmień	13·00—13·25		
Fasola biała	27·00—29·00	Mąka żytnia	23·50—24·00
Groch zwyk.	25·00—27·00	Mąka pszen.	35·50—36·00
Siano słodk.	7·00—7·50	Otręby pszen.	10·25—10·50
Łubin żółty	8·50—8·75	Otręby żytnie	9·75—10·00
Konicz pastew.	7·50—8·50	Mąka czerw.	13·00—13·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Informator
Administracyjno-Podatkowy

Opracowany przez redaktora Józefa Czajkę, konieczny w każdem gospodarstwie rolnem, ogrodniczem, w każdym sklepie, młynie, tartaku, mleczarni i t. p.

Książka zawiera 8 działów i omawia wyczerpująco sprawy administracyjne, sądowe, podatkowe, wojskowe, finansowo-rolne i ubezpieczeniowe. 52 wzorów podań, skarg, próśb i odwołań do wszystkich urzędów państwowych i samorządowych. Informator wysyła Rolnicza Ajencja Prasowa po wpłaceniu 1.40 gr. na konto P. K. O. Nr. 13.674 lub przekazie pocztowym pod adresem: Rolnicza Ajencja Prasowa, Warszawa, ul. Marszałkowska Nr. 85 m. 5.

Uwaga: Za cenę jednej porady prawnej ma się stałego doradcę w domu.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Fabryka **dachówek**
Romana ks. Sanguszki w Tarnowie

poleca do krycia dachów

dachówkę paloną

znaną w kraju od lat 50 z gwarantowanej jakości i taniości.
Na żądanie wysyłamy cenniki i wzory.
Zamówienia wykonujemy również zbiorowo.
Poszukujemy zastępców sprzedaży.

Piękny plac **w Starym Sączu** tuż przy stacji kolejowej i ulicy głównej, nadający się pod budowę trzech dużych domów, bardzo tanio zaraz do sprzedania. Zgłoszenia pod adresem: Andrzej Gliński kuśnierz w Starym Sączu, ul. Czarneckiego L. 666.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Najniższe ceny!!





Największy wybór!!





Rowery męskie, damskie i chłopięce. Wszelkie części zapasowe do rowerów. Maszyny do szycia, Maszyny rzemieślnicze, Wózki dziecięce i lalkowe, Gramofony i Patefony. Płyty nowe zł. 1.50 poleca najtaniej największy fabr. Skład w Krakowie

The Krischer Company — Florjańska 9.

Do nabycia w Administracji „Roli“: Książki kucharskie »366 obiadów« 3·50 zł Flirt Polski 1·15 zł., Listownik dla zakochanych 1·25 zł., śpiewnik miłosny 1·25 zł., Zbiór powinszowań 1·25 zł., Sennik egipski ilustrowany 1·65 zł.

CHOROBY PŁUCNE SĄ ULECZALNE

Gruźlica płuc, suchoty, kaszel suchy, plucie, poty nocne, kotar bronchityczny, zaflegmienie, krwotoki, plucie krwią, astma, rozedma płuc, kłucie w boku i t. p. cierpienia są uleczalne.

Przed użyciem



Po użyciu



TYSIĄCE WYLECZONYCH

Żądajcie natychmiast nowej broszurki o

„NOWEJ SZTUCE DOŻYWIANIA“

która już wielu uratowała

Zupełnie darmo

otrzymacie moją broszurkę, z której dowiecie się wiele rzeczy naukowych. Kto zatem chce się oswobodzić od cierpień, kto chce wyleczyć się gruntownie i zupełnie bezpłatnie, niech napisze jeszcze dziś!

Jeszcze raz zaznaczam, otrzymacie zupełnie **darmo i bez kosztów**, bez wszelkiego zobowiązania, moje rady, a lekarz wasza napewno przyzna rację tym uwagom o

UREGULOWANIU WASZEGO ODŻYWIANIA

ustanowionym przez pierwszorzędnych lekarzy i profesorów. Leży zatem w Waszym interesie, abyście natychmiast do mnie napisali, a potem moje tamtejsze zastępstwo będzie mogło obsłużyć Was na każde żądanie. — **Czerpcie naukę i wzmacniajcie Waszą chęć do wyleczenia z mojej książki, napisanej przez doświadczonego lekarza.** Daje ona podnietę i pociechę życiową i dotyczy wszystkich tych, którzy się interesują nauką o leczeniu chorób płucnych.

PANNONIA APOTHEKE, BUDAPEST 72. POSTFACH 83. ABT. 570.